Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 17 Niedziela, dnia 25-go kwietnia 1926 roku Rok 2

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 85
Telefon Nr. 45-50
Godziny przyjęć: od 5—7 ppoł.
prócz niedziel i świąt
Konto w P. K. O. Nr. 63,353.

PRAWDA

Przedstawicielstwo Redakcji i Administracji
w WARSZAWIE:
Alfred Wilecki, Wilcza 16, telefon 305-07

Cena egzemplarza
30 groszy
W prenumeracie z dostawą do domu 4 zł. na trzy miesiące
Konto w P. K. O. Nr. 63,353

NIEZALEŻNY ORGAN TYGODNIOWY

Treść numeru

Sprawy tygodnia

MANE TEKEL.

Z migawkowego kalejdoskopu posępnej gry, której jesteśmy świadkami od dni kilku, jeden tylko wyłaniać się zdaje pewnik jasny i niewątpliwy: że wszyscy bez wyjątku przejrzeli jasno i zrozumieli, iż jesteśmy u kresu, poza którym kończy się klęska kryzysu, a zaczyna chaos. Późno przyszło to uświadomienie, bo trudno jest zaręczyć, że kresu tego nie przeszliśmy już oddawna, jako że warunki, wśród jakich rozgrywa się nasze życie gospodarcze już od kilku miesięcy, przerażające do chaosu zdradzają podobieństwo. Przypadkowość, dorywczość, hazard w każdem poczynaniu, niemożność objęcia okiem perspektywy, wykraczającej po za dzień jutrzejszy, a może nawet dzisiejszy — wszystko to doprowadzić musiało z konieczności do osłabienia jednostek gospodarczych u podstaw. To też stoimy wobec smutnego i groźnego obrazu zarysowanych fundamentów, których widok sugestywnie wytwarza słuchową niemal sensację trzeszczących wiązań. A z drugiej strony i energja ludzka, strawiona borykaniem się z poziomemi troskami i trudnościami życia codziennego, wyczerpała się całkowicie, wykluczając wszelką możność inicjatywy, a płomień dawnego zapału zamieniony został na popiół zniechęcenia i rozgoryczenia.

Od pytania jednak, czy uświadomienie nie przyszło zapóźno, ważniejszem jest w tej chwili drugie, czy jest ono natyle jasne i twórcze, by stworzyć mogło pobudkę do podjęcia akcji ratowniczej, zakrojonej odpowiednio do rozmiarów klęski. Niestety na to pytanie odpowiedź negatywną dają zarówno obadwa przeciwstawione sobie w łonie b. rządu programy, jak i deklaracja stronnictwa PPS., motywująca ustąpienie ministrów socjalistycznych. Ta deklaracja tedy przedewszystkiem z jednakowym akcentem traktuje sprawy drugorzędne, jak ustawy socjalne, co i pierwszorzędne, jak klęskę bezrobocia, nieszczerze mówi o konieczności reorganizacji administracji, której właśnie mężowie stronnictwa najkategoryczniej się sprzeciwiali, a wreszcie — i to najważniejsze, — oderwane objawy sytuacji traktuje, jako zjawiska samoistne i niezależne, podlegające naprawie każde zosobna. Programy zaś, jakkolwiek pod względem realności ujęcia nie dają porównać się ze sobą, mają jednakże ten jeden wielki, wspólny błąd, iż wychodzą ze złudnego zgoła założenia, jakoby ratunek był wogóle bez pomocy pożyczki zagranicznej jeszcze możliwy. Kurczowe trzymanie się tej tezy ze spuścizny p. Grabskiego, jest w obliczu powagi i grozy położenia tak dalece niepojęte, iż niepodobna oprzeć się myśli, że ta groza i powaga nie dotarły jednak do świadomości członków rządu. Zapewne, że wyrzeczenie się tej tezy wymaga już teraz, po kilkoletnim urabianiu i podniecaniu opinji, pewnego męstwa. Ale czy nie większego jeszcze męstwa wymaga zamierzenie wyciągnięcia ze społeczeństwa resztek jego soków życiowych dla przeprowadzenia nowego ryzykownego eksperymentu? Nie mówiąc już o wchodzących w sferę fantazji zamysłach, opierających sanację na zetatyzowaniu przywozu i wywozu, lub na podwyższeniu poboru podatku majątkowego, — nawet skromne napozór 10-procentowe podwyższenie podatków, objęte programem min. Zdziechowskiego, zdradza ufność w siły gospodarstwa, których ono nie posiada. Tych sił niema, i stanowczo szukanie ratunku w ich wątłych resztkach wymaga większego męstwa i bardziej naraża odpowiedzialność naszych mężów stanu, aniżeli przyjęcie pomocy od zagranicy, choćby nawet na warunkach niemożność przyjęcia których wydawała się im przed rokiem jeszcze koniecznością państwową

NIEZNALEZIONY KOMPROMIS.

Mieliśmy dwa rządy koalicyjno - parlamentarne.

Pierwszy powstał dla obrony niepodległego bytu państwa, w czasie inwazji bolszewickiej. Zadanie miał jasne, równie proste jak wielkie: skupić wszystkie siły narodu dla odparcia wroga.

Nie było i nie mogło być wówczas szukania „platformy" i kompromisu. Cel koalicji nie budził w nikim jakiejkolwiek wątpliwości. Poczucie wspólnego interesu politycznego i jedyność dróg działania skupiły wszystkie stronnictwa we wspólnym wysiłku. Pytanie: „być albo nie być"? — nie mogło wywoływać dwóch odpowiedzi. W takim momencie nie było żadnej okazji do targów partyjnych. Nie było też sprzeczności interesów.

To wszystko, co mogło dzielić obozy polityczne, co musi je dzielić w czasie pokoju, zamilkło, nie istniało jako czynnik polityczny w układzie stosunków. Na później odłożono wszystkie sprawy, niezwiązane bezpośrednio z celem chwilowo jedynym: odeprzeć najazd, wygrać wojnę, uratować niepodległość państwa.

Ów pierwszy rząd koalicyjny spełnił swoje zadanie. Państwo zostało uratowane. W ostatniej niemal chwili zrodził się w narodzie potężny odruch samoobrony. Najazd został odparty, państwo uratowane.

Po spełnieniu tego wielkiego zadania, ówczesny rząd koalicyjny, zcementowany wspólną sprawą, tracił na sile w miarę jak powracały sprawy i zagadnienia odłożone na później. Poszczególne grupy społeczne wróciły do głosu, przypominając o swoich grupowych interesach. „Platforma" wojenna pękała i pękła.

Od tej chwili w czasie wszystkich naszych perypetji politycznych, przy wszelkich zmianach i kombinacjach gabinetowych wciąż wracała myśl o gabinecie koalicyjnym. Tem silniej, im gorsze było położenie państwa. Po dymisji b. premjera Grabskiego z obawy wspólnej przed ostateczną katastrofą gospodarczą i finansową wyłonił się nowy rząd koalicyjny. Tamten, pierwszy, zrodził się również z obawy, ale różnił się od ostatniego zasadniczo tem, że prócz obawy miał jednolite hasło, wspólny problem i wyraźny cel.

Rząd koalicyjny p. Skrzyńskiego nie powstał na podstawie ustalonego programu, lecz postawił sobie za zadanie tego programu szukać. Nie skleił go kompromis programowy, lecz tylko myśl o tym kompromisie, nadzieja, że się znajdzie, że się musi znaleźć.

Szukano pięć miesięcy i nie znaleziono. Tylko w poszczególnych, najbardziej palących sprawach, domagających się natychmiastowego załatwienia osiągano chwilową ugodę, która w niczem nie zbliżała do ugody w programie zasadniczym. Zagadnienie takie, jak wysokość pensji urzędniczych, rozstrzygane kilka dni przed pierwszym dniem miesiąca, najlepiej charakteryzowało politykę paljatywów i charakter prób porozumienia, prób, które żadnego gmachu ugody zbudować nie mogły. Po pięciu miesiącach wyłoniły się dwa programy sanacji finansowej, gruntownie sprzeczne. Nadzieja na kompromis rozwiała się.

Tymczasem życie domagało się i domaga się coraz natarczywiej rozstrzygnięć nietylko w kwestjach godziny i dnia, ale i rozstrzygnięć problematów najbardziej zasadniczych.

Skoro pięć miesięcy nie wystarczyło na znalezienie ugodowego lekarstwa, można sądzić, że tego lekarstwa nie przyniósłby i dłuższy okres czasu. Z tego względu upadek rządu koalicyjnego nie może być uważany za fakt w naszem życiu politycznem ujemny. Dziś już palące sprawy gospodarcze i finansowe muszą zejść z terenu ustawicznych prób kompromisowych. Rzeczywistość donośnym głosem woła o kategoryczne decyzje.

PRZESILENIE.

Pierwszy rząd premjera Skrzyńskiego, t. zw. rząd koalicyjny, powstał po upadku rządu Władysława Grabskiego, gdy w czasie przesilenia wytworzyła się sytuacja, grożąca każdej chwili ciężkiemi powikłaniami. Zanosiło się na to, że o ile sejm nie weźmie czynnego udziału w grze, znajdzie się poza nawiasem.

Wtedy to stronnictwa porozumiały się, iż należy stworzyć natychmiast rząd parlamentarny, któryby opanował sytuację i uspokoił umysły wzburzone. Co ten rząd robić będzie potem, jakie zajmie stanowisko wobec piekących zagadnień gospodarczych, o tem narazie nie myślano.

Nie starano się i później uzgodnić stanowiska rządu w tych sprawach, a raczej rozumiano z każdym dniem wyraźniej, że ugoda będzie niemożliwą. Minister skarbu robił co mógł, by odwlec moment, w którym jakaś wspólna decyzja stać się musiała nieuniknioną. Ale wszystko co robił, nosiło charakter tymczasowości. Aby ułagodzić przeciwników w gabinecie, zawsze podkreślał, że dana decyzja czy projekt nie zmienia istniejącego stanu rzeczy, lecz zawiesza go tylko na pewien okres czasu. Ale szczupły jest zakres takich możliwości, które można na pewien czas tylko zmienić, to też w sprawie najważniejszej: zrównoważenia budżetu i uprawdopodobnienia go nic nie zrobiono — wogóle budżetu na rok 1926 nie ruszano. Uchwalono prowizorjum na I kwartał, później dodatkowe na kwiecień, a deficyt starano się zmniejszyć przez uszczuplenie „tymczasowe" poborów urzędniczych i robienie długów, przez niewypłacenie pewnych należytości pod różnymi pozorami.

Mimo to deficyt za pierwszy kwartał wyniósł 100 miljonów, które pokryto z zapasów kasowych z ubiegłych miesięcy, wpływami z pożyczki premjowej i bilonem.

Źródła te wyczerpały się, emisje bilonu na potrzeby państwowe automatycznie obniżyły kurs złotego i brakło już pozorów do dalszego drukowania pięciozłotówek. Dogospodarowano do kresu i znaleźliśmy się wobec alternatywy: albo otwarcie już drukować dalej i niech się zaczyna ostatni akt, albo wziąć ołówek w rękę i liczyć: „tyle możemy wyciągnąć od społeczeństwa — tyle też wolno nam wydać. Co za to możemy mieć, a czego musimy się wyrzec?".

Przy tym rachunku wybuchła kłótnia. Ministrowie socjalistyczni zakwestjonowali stronę dochodową i postawili sprawę w ten sposób: ‚Tyle musimy wydać — zastanówmy się w jaki sposób to od społeczeństwa wyciągnąć". I równocześnie przedstawili szereg propozycji a wśród nich: podnieść podatek majątkowy o 80 miljonów, podnieść podatki bezpośrednie, jak gruntowy, od nieruchomości, dochodowy itp., obniżyć ustawowy stopień pokrycia banknotów Banku Polskiego i powiększyć ich obieg, oraz szereg podobnych.

Minister Żdziechowski stanął na stanowisku przeciwnem: „Z dochodami nie wiele zrobimy — dobrze będzie jeśli wyciągniemy to, czego się optymistycznie spodziewamy — reformować trzeba stronę wydatków". I również przedłożył wnioski: nie podwyższać pensyj urzędniczych, nie przyjmować ani jednego nowego urzędnika na służbę, zredukować 18 tysięcy zbytecznych kolejarzy, ustanowić specjalnych kontrolerów, aby przestrzegali, by to wszystko było wykonane.

O kompromisie mowy być nie mogło, zresztą żadna strona nawet nie pomyślała o kompromisie. Ministrowie socjalistyczni wobec tego podali się do dymisji w tem przekonaniu, że odejście ich pociągnie za sobą także i odejście ministra Żdziechowskiego wraz z całym rządem, że zatem jego projekt również zostanie pogrzebany w przesileniu i przez następny rząd podjęty nie będzie.

Stało się jednak inaczej.

BEZ KURTYNY.

Gdy w jakiejś sztuce kończy się akt, zapada zawsze kurtyna, nawet jeśli następny akt grany jest przy tych samych dekoracjach. Takie już jest niepisane, ale niezłomne prawo teatru. W polityce również są prawa niepisane, które jednak obowiązują, tembardziej może, że nie są pisane. Takiem prawem jest zwyczaj, że gdy kilka stronnictw sejmowych porozumiało się, aby utworzyć rząd, to jeśli później jedno uzna za stosowne porozumienie to wypowiedzieć, inne również uznają je za nieistniejące. Wówczas kończy się jeden akt, zapada kurtyna, aktorzy przygotowują się do nowego i gdy wszyscy są gotowi, zaczyna się akt następny. Mogą występować w nim ci sami aktorzy, którzy grali w poprzednim, niemniej jednak jest to akt nowy, a grę aktorów krytyka ocenia na nowo.

Takim aktem był rząd koalicyjny pana Skrzyńskiego. Aktorzy porozumieli się, że trzeba wyjść w takim właśnie składzie na scenę i odegrać jakiś program wspólnie. Nie odegrali nic i cały czas strawili na naradach, co właściwie zagrać. I to przy otwartej kurtynie ku zniecierpliwieniu publiczności. Wreszcie kilku z nich oświadczyło, że wogóle grać nie będą w takim zespole. Zeszli ze sceny. Kurtyna powinna była zapaść — publiczność miałaby złudzenie, że te narady właśnie były programem. Może nie byłoby oklasków ani uznania, może nawet część widzów odetchnęłaby z ulgą, że niewesołe widowisko się skończyło, ale zapomnianoby o tem w oczekiwaniu aktu następnego.

Tymczasem kurtyna niezapadła.

Eksperyment, dotychczas w podobnych warunkach nigdzie jeszcze nie próbowany Przy otwartej scenie trwają dalsze narady

co zagrać wobec publiczności i jak uzupełnić zespół.

Reżyserowie biorą na swoje barki ogromną odpowiedzialność. Pewne rzeczy muszą dziać się za kurtyną zamkniętą. Jeśli nawet antrakt się przedłuża i widzowie się hałaśliwie niecierpliwią, gra sama i opinja teatru na tem nie cierpią zbytnio. Z chwilą podniesienia kurtyny nastaje cisza. Ale gdy po bardzo niewyraźnym i niezrozumiałym akcie, przygotowania do drugiego toczą się przy otwartej kurtynie i publiczność widzi wszystkie braki reżyserji i w dodatku aktorzy, którzy się wycofali, wśród publiczności krytykują zespół, którego byli członkami — niebezpieczeństwo wybuchu ogólnego zniecierpliwienia jest wielkie.

* * *

W chwili, gdy ministrowie socjalistyczni podali się do dymisji, winien był nastąpić antrakt. Wszyscy powinni byli zejść z sceny. Reguły i powaga gry wobec publiczności tego wymagały. Akt następny można było rozpocząć choćby natychmiast i w tym samym składzie, tylko uzupełnionym, ale należało odgrodzić go, choćby chwilowem opuszczeniem zasłony. Niechajby publiczność sama osądziła najgorszych w zespole, którzy uniemożliwili grę, jakiej się spodziewano.

* * *

Premjer Skrzyński przedstawił Prezydentowi Rzeczypospolitej prośbę o dymisję gabinetu po przyjęciu dymisji ministrów socjalistycznych. Prezydent Rzeczypospolitej dymisji pozostałych członków gabinetu nie przyjął — premjer zgodził się na nieprzyjęcie dymisji i chwilowo, gdy to piszemy, przesilenia właściwie niema.

Urzęduje nadal gabinet dotychczasowy, a równocześnie nowy, gdyż wycofanie się P. P. S. z koalicji i z gabinetu nadaje rządowi nową fizjonomję i pociągnie za sobą konieczność wystąpienia z nowym programem przed sejmem i starania się o aprobatę większości sejmu.

Ujemne strony przesilenia mieć będziemy, a dodatniej, jaką jest przedewszystkiem oczyszczenie atmosfery, nowy przypływ nadziei, że nowy rząd nareszcie da nam czyny nie będzie, gdyż zwłaszcza masy, nie widząc formalności przesileniowych, łatwo uwierzą podszeptom, że nic się nie zmieni, że to ten sam rząd, a tylko nowe słowa.

Rząd koalicyjny nie pozostawił po sobie dobrych wspomnień. Stronnictwa, które w rządzie pozostały były niewątpliwie ożywione najlepszemi chęciami ratowania państwa z grożącego niebezpieczeństwa, ale wzgląd na utrzymanie koalicji krępował swobodę ich ruchów i słów. Musiały iść na kompromisy i półśrodki wbrew woli, a dla świętego spokoju. Ale szły i stały się przedmiotem krytyki. Teraz, mając opozycję przeciw sobie, a nie w własnem gronie, być może, że nie zawahają się przed walką o naprawę złego, które tak zastraszające poczyniło postępy — ale w tej walce nie odrazu spotkają się z poparciem i uznaniem tej wielkiej części społeczeństwa, która niewątpliwie opowiedziałaby się za niemi, gdyby nie doświadczenia wczorajszego dnia.

Dlatego szkoda wielka, że między wczoraj a dzisiaj nie zapadła kurtyna, że chwilowem odejściem nie zademonstrowały, iż z tem, co było wczoraj, nie chcą mieć nic wspólnego i nawiązywać do tego nie będą.

Redukować! Ale kogo?

Obecna sytuacja finansowa skarbu jest tak ciężka, iż rząd prędzej czy później będzie musiał zabrać się do należytego zredukowania swych wydatków.

Hasło oszczędności nie jest nowe. Aż do znudzenia powtarza go w Polsce każdy gabinet. Ale konkretnych rezultatów z tego niema żadnych, przeciwnie, z każdym rokiem machina państwowa się rozrasta. Jednakże dziś zabrnęliśmy już tak daleko, że nawrót musi czemprędzej nastąpić. Sytuacja jest taka, że rząd, który nie będzie w stanie zmniejszyć wydatków państwa, u steru władzy długo się nie utrzyma.

Rząd koalicyjny, stworzony przez pana Skrzyńskiego, popełnił na samym początku swej działalności błąd nie do darowania. Miast odrazu przystąpić do należytej redukcji wydatków personalnych budżetu państwa, miast pokasować zbędne urzędy państwowe, których się namnożyło bez liku, rząd zatrzymał machinę państwową na dotychczasowym, nadmiernie wybujałym poziomie, a względną równowagę prowizorjum budżetowego na pierwszy kwartał b. r. oparł na połowicznym środku, jakim jest mechaniczne obniżenie płac pracowników państwowych.

Rezultaty tego były nad wyraz smutne. Pierwszy kwartał zakończył się poważnym deficytem, wynoszącym zgórą 100 miljonów złotych, a sumy, preliminowane na wydatki w ciągu pierwszych trzech miesięcy w wysokości okrągło 406,500,000 złotych, okazały się jeszcze o 18 miljonów za małe.

Widać chyba z tego aż nazbyt wyraźnie, że równowaga budżetu musi być oparta na innych podstawach. Zmniejszenie wydatków personalnych państwa staje się już dzisiaj nakazem, który dłużej odkładanym być nie może.

Rząd musi przystąpić do zmniejszenia liczby urzędników, łącznie z reorganizacją urzędów i uproszczeniem biurowości. Niewątpliwie jest to zadanie najtrudniejsze i najboleśniejsze. Ale gdy chodzi o zagadnienia, dotyczące bytu państwa, wówczas żadnemi względami nie można się kierować i czemprędzej trzeba przystąpić do wykonania bolesnej operacji.

Tem niemniej trzeba dążyć do tego, aby redukcja wydatków personalnych z jednej strony dała największy efekt oszczędnościowy dla skarbu państwa, a z drugiej, aby była przeprowadzona w sposób najmniej dotkliwy dla warstwy urzędniczej. Są to dwa postulaty napozór ze sobą sprzeczne. Ale tak się tylko zdaje.

Już sama opinja od dłuższego czasu wyraźnie wskazuje, kogo w pierwszym rzędzie należałoby zredukować.

Ta opinja publiczna domaga się oddawna usunięcia tych urzędników, którzy swoją nieudolnością narazili skarb państwa na straty. Dalecy jesteśmy od tego, aby jakiekolwiek bądź oskarżenia rzucać pod adresem ogółu urzędniczego. Są tam olbrzymie kapitały patrjotyzmu i poświęcenia. Są tam jednostki ze wszech miar pożyteczne dla państwa. Ale nie znaczy to, abyśmy zgadzali się na dalsze tolerowanie na urzędach tych wszystkich, którzy okazali się nieodpowiednimi.

Obfitego materjału dostarczyć tutaj mogą zarówno Najwyższa Izba Kontroli Państwa jak i poszczególne komisje dyscyplinarne.

Następnie trzeba przystąpić do usunięcia urzędników nieprzygotowanych do administracji państwowej. W wielu urzędach na stanowiskach naczelnych, kierowniczych i odpowiedzialnych znajdują się dyletanci, nieucy, z domowem wykształceniem, bez żadnej znajomości prawa. Smutną ilustrację stosunków, panujących pod tym względem w naszej administracji, przynosi ostatni rocznik statystyczny, podając liczbę zatrudnionych w ścisłej administracji państwa w r. 1923. Z rocznika tego dowiadujemy się, że na 42,529 urzędników państwowych tylko 5406 urzędników posiadają wyższe studja, w tem zaledwie 2043 studja prawnicze, względnie ekonomiczne.

Czyż w Polsce brak ludzi z wyższem wykształceniem, aby trzeba było się uciekać do pomocy dyletantów? Na szczęście tak nie jest. Istnieje nawet nadprodukcja ludzi z wyższem wykształceniem prawniczem, której nie są w stanie pomieścić nasze sądy.

Wreszcie redukcja powinna dotknąć kobiety, których jest na urzędach państwowych stanowczo za dużo. Każdy, kto choć raz miał potrzebę znalezienia się w jakiejkolwiek instytucji państwowej, musiał zauważyć to uderzające zjawisko, że ilość kobiet-urzędniczek jest niewspółmiernie duża w stosunku do mężczyzn. Pomijam już fakt, że naogół, poza nielicznemi wyjątkami, kobieta nie dotrzymuje kroku mężczyźnie co do intensywności i uzdolnienia w pracy, ale decydującym powinno być tutaj to, że kobiecie daleko jest łatwiej przetrwać ciężkie chwile bez pracy, niż mężczyźnie.

Tych trzech głównych kategorji urzędniczych, pobieżnie tylko tutaj przez nas ujętych, winna w pierwszym rzędzie dotknąć redukcja.

Da to niemały rezultat oszczędnościowy, a dla warstwy urzędniczej będzie najmniej bolesne.

Ale z wprowadzeniem w życie tych redukcji dalej zwlekać już nie można!

St. M.

WALKA Z WIATRAKAMI

Gdyby jakiś cudzoziemiec, nieznający zupełnie liczebnego ustosunkowania ugrupowań partyjnych w parlamencie polskim, chciał wyrobić sobie zdanie o prądach ideowych społeczno-politycznych, nadających kierunek poczynaniom państwowym w Polsce — stwierdziłby niewątpliwie ogromną przewagę idei socjalistycznej. T. zw. „program minimalny" socjalistyczny, urzeczywistniony został niemal bez sprzeciwu w rozmiarach znacznie szerszych, niż w wysoce uprzemysłowionych państwach Zachodu. Stosunek państwa do własności prywatnej znacznie bliższym jest ideologji Wschodu niż Zachodu. A już zwłaszcza rozszerzenie ingerencji państwa na wszystkie dziedziny życia społeczno-gospodarczego, rządzenie zapomocą nakazów i zakazów, zupełne ignorowanie podstaw tworzenia się dochodu społecznego a skoncentrowanie całej uwagi na jego podziale, doprowadzające w praktyce do niszczenia bogactwa narodowego — analogję znaleźć może jedynie u naszych wschodnich sąsiadów. Prawdopodobnie takiemu badaczowi trudno byłoby uwierzyć, że stronnictwa, uwidaczniające w swej nazwie przynależność do ideologji socjalistycznej, stanowią zaledwie drobny odsetek przedstawicielstwa narodowego.

Definicja socjalizmu ulegała ewolucji. Marks postawił teorję, wedle której przeciętnie niezbędna suma pracy, włożonej w produkcję towaru stanowi jego wartość. Cena, przewyższająca wynagrodzenie owej społecznie niezbędnej pracy, jest nadwartością, wyzyskiem klasy robotniczej przez klasę kapitalistów. Dla usunięcia krzywdy wyzysku i zapewnienia robotnikowi pełnego wytworu jego pracy, niezbędne jest zniesienie własności prywatnej środków produkcji — a zastąpienie jej posiadaniem kolektywnem lub komunistycznem. Czy zamiana ta nastąpi wskutek rewolucji proletarjatu czy też spokojnej uchwały przedstawicielstwa narodowego — to już kwetja drugorzędna — jak drugorzędne są i różnice między socjalizmem państwowym lub komunalnym. Zasadnicze natomiast jest zniesienie własności prywatnej i zastąpienie inicjatywy indywidualnej i wolnej konkurencji — biurokratyczną organizacją produkcji i podziału.

Marxowska teorja wartości była tak słaba, że socjaliści współcześni przeważnie nie upierają się przy niej. Zaniedbując jednak teoretycznego wyjaśnienia genezy dochodu, tem energiczniej walczą o jego podział — a negując potrzebę istnienia własności i przedsiębiorczości indywidualnej, nie troszczą się o to, że wywalczone płace, „świadczenia socjalne" i podatki, zabierają nietylko dochód. W życiu praktycznem, w krajach o silnie rozwiniętym przemyśle, socjaliści walczą o zwiększenie w dochodzie społecznym udziału klasy robotniczej oraz państwa — stronnictwa zaś „burżuazyjne" pilnują interesów produkcji i niedopuszczają do zasypania źródeł dochodu.

Niebezpieczną cechą naszej reprezentacji jest brak należytej obrony interesów produkcji, która w dyskusji sejmowej bywa zazwyczaj traktowana jako obrona interesów poszczególnych kapitalistów. Dlatego to w naszym sejmie, pomimo znikomej liczebności klubu socjalistycznego z taką łatwością przechodzą ustawy, nadwyrężające konstytucyjnie zagwarantowane prawo własności, nakładające nadmierne ciężary na produkcję, poddające przedsiębiorczość i inicjatywę indywidualną reglamentacji państwa, zwalające na barki państwa zadania, które znacznie lepiej rozwiązują dobrowolne, samorzutne organizacje społeczne — jednem słowem, urzeczywistniamy w dziedzinie gospodarczo - społecznej postulaty socjalistyczne przez stronnictwa anti - socjalistyczne.

Jak ciężko odbija się to na życiu gospodarczem — to widzimy po jego zamieraniu w naszym kraju. Ale jeżeli autorowie tak daleko posuniętego socjalizowania naszego życia gospodarczego łudzili się, że okupują tem pokój społeczny — to i tu fiasco najzupełniejsze. Właśnie depresja gospodarcza i w parze z nią idąca nędza, stwarzają atmosferę niezadowolenia i podłoże dla wszelkich prób przewrotu. Jeden z najwybitniejszych publicystów obozu P. P. S., p. T. Hołowko, sądzi, że może już tylko „...pozostała jedyna droga — droga rewolucji..." „...aby w drodze walki znieść tę okupację zgnilizny i podłości, która dziś rządzi Polską". „...jeśli niedołęstwo zbrodnicze Sejmu doprowadzi do tego, że drogą spisku i gwałtu po władzę zaczną sięgać Dowborowie, Raszewscy, Sikorscy, Lubomirscy — wówczas z radością i nadzieją wyciągną ręce ku nadchodzącej burzy. Niech przyjdzie starcie tych 2 światów. Uderzą wówczas pioruny gniewu ludu w dwory magnackie, te gniazda moralnej nicości i sobkostwa — w gmachy giełd, które stały się jaskiniami spisków na pieniądz państwa, w stugłową hydrę biurokracji ssącej żywotne soki z narodu, duszącej go w swych mackach straszliwych".

Programu pozytywnego sanacji p. Hołówko nie stawia — poprzestając na „akcie wiary": „Wierzę w siły niespożyte ludu polskiego, wierzę w jego moc duchową, w jego patrjotyzm" — co wszystko sprawia, że p. H. wierzy, że Polska w tej burzy uratuje swój byt niepodległy i wyjdzie z niej odrodzona i odnowiona duchowo. Z wyznaniem strzelistego aktu wiary, oczywiście dyskutować nie można. Ponieważ jednak każda wiara przybiera zewnętrzne formuły religijne i ma wykonawców kultu — chcielibyśmy wiedzieć, jak p. H. wyobraża go sobie. Wszakże jedna z najliczniejszych pepinier „stugłowej hydry biurokracji" była zawsze domeną stronnictwa p. H. lub idących w ogonie PPS. — NPRowców.

Niech p. H. starannie przejrzy „rozporządenia wykonawcze" i „okólniki" tego ministerjum — to przekona się, jak wielką rolę odegrało ono w zdławieniu naszej produkcji i jak skutecznie walczyło z odbudowaniem dobrobytu kraju. Czy p. H., zapowiadając, iż „ujmiemy ster w y ł ą c z n i e w nasze ręce i radykalnie skręcimy na lewo" — sądzi, że rozflancowanie kwiatuszków z tego ogródka na wszystkie dekasterje ministerjalne, będzie uzdrowieniem Polski?...

Rozumiem i odczuwam ból okrzyku p. H., iż „straszną mistyfikacją" jest — jeżeli nie wszystko — to przynajmniej b. wiele z tego, co się dziś dzieje w „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej". I również, kiedy p. H. pyta: „Co to wszystko, czem dzisiaj żyjemy, co widzimy, ma wspólnego z Polską Jagiellonów, Polską Wielkiej Emigracji, Polską Powstańczą, Polską Bojowców PPS., Polską Legjonów i P. O. W. Piłsudskiego?" — prawie zgodnie z nim odpowiadam: „Nic nie ma wspólnego".

W zupełności również podzielam uznanie p. H. dla minionej epoki działalności PPS. — „która wbrew wszystkim i wszystkiemu podniosła przeszło 30 lat temu sztandar walki o niepodległość". Gdyby jednak p. H. zechciał rozejrzeć się, to między tak gorąco przez niego wyklinanemi „otwierającymi drzwi różnym monarchizmom, faszyzmom, komunizmom i t. p." znalazłby nietylko towarzyszy z pod znaku PPS., ale nawet współtwórców programu. Wspólnem podłożem tych wszystkich programów jest niezadowolenie z naszej rzeczywistości i szukanie drogi wyjścia „z dzisiejszego impasu".

Na tem podłożu z łatwością może przyjąć się program rewolucyjny p.H. Że „pioruny gniewu ludu" zniszczą „dwory magnackie", „gmachy giełd" i t. p. w to z łatwością uwierzę — ale żeby rewolucja mogła odbudować dobrobyt społeczeństwa, stałość waluty, praworządność — w to prawdopodobnie i p. H. nie wierzy.

Udrękę rządów „stugłowej hydry biurokracji" znieść może tylko zgodny wysiłek całego społeczeństwa. Całe społeczeństwo musi sobie uświadomić, że państwo nie posiada — przynajmniej w teraźniejszości — organów do wypełniania funkcji społeczno-gospodarczych; zamiast więc zastępować ich niedołężnemi protezami — niech raczej i same funkcje zostawi trosce obywateli.

Obecna walka socjalistów z „biurokracją" wynikającą z urzeczywistnienia ich programu — jak również walka stronnictw anti-socjalistycznych z socjalistami, spełniając równocześnie ich postulaty w zakresie życia gospodarczo - społecznego — wydaje mi się walką z wiatrakami.

Dr. M. Zawadzka.

Prosimy o wpłacanie prenumeraty.

KWESTJA LUDNOŚCIOWA W POLSCE

Polska w okresie rozbioru nawet po odpadnięciu od niej na rzecz Rosji Kresów Wschodnich, słabo zaludnionych posiadała bardzo rzadką ludność, miała 18 mieszkańców na 1 km. kw. Była to wprawdzie gęstość zaludnienia ówczesnej Europy, lecz na tę przeciętną wpływało słabe zaludnienie olbrzymich obszarów Rosji europejskiej, która na obszarze dochodzącym do 5 milj. km., a więc przechodzącym 50 proc. obszaru Europy, liczyła zaledwie 33 milj. mieszkańców, czyli 6,5 na km. kw. Gęstość zaludnienia ówczesnej Polski odpowiadała gęstości zaludnienia Francji IX stulecia, Francja zaś ówczesna posiadała 52 mieszkańców na 1 km., Prusy 37, Śląsk 46, Królestwo Saskie 70 kilka, Austrja 30.

Ludność Polski nie była rozmieszczona równomiernie na jej terytorjum, najgęstsze zaludnienie posiadała Galicja, dochodząc do 30 mieszkańców na km. najrzadsze ziemie północno- wschodnie.

Miasta większe są wynikiem gęstego zaludnienia. Gdy więc Francja w końcu XVIII wieku posiadała Paryż o 400 tys. mieszkańców, stolica Polski nie miała wówczas nawet 100 tys. Gdy Francja posiadała 79 miast z ludnością przeszło 10 tys., Polska nie miała nawet 10 takich miast. Francja miała szereg miast powyżej 50 tys., w Polsce poza Warszawą w 1772 r. tylko jedno Wilno przekraczało 50,000 mieszkańców. Kraków zaś liczył 23,590, Lwów 15,000, Lublin 8,550, Kowno 8500, Poznań (przy okupacji) 12,509.

Miasta polskie wobec rzadkiej ludności Rzeczypospolitej i częstych najazdów musiało zasilać się obcym pierwiastkiem. Dostarczały go nam Niemcy: stąd szło niemieckie i zgermanizowane językowo mieszczaństwo żydowskie, pierwsze jako rasowo i wyznaniowo bliższe ulegało asymilacji, drugie stanowiło zawsze obcy żywioł, działający silnie, a częstokroć ujemnie, na kształtowanie się stosunków gospodarczych i politycznych Polski.

Niektórzy historycy w Polsce, przedewszystkiem Bobrzyński, wypowiadali zdanie, że było naszym błędem dziejowym, iżeśmy się nie skoncentrowali na mniejszem terytorjum, że wyszliśmy z naszych granic etnograficznych i staliśmy się państwem niepomiernie dużem w stosunku do naszych sił liczebnych. Lecz tu się zapomina, że rozrost liczebny każdego narodu zależy w znacznej mierze od obszaru jego terytorjum. Na małym półwyspie Duńskim, na nieposiadającym znaczniejszego obszaru rolnego półwyspie Skandynawskim, wyrosły małe narody znacznie mniej liczne od narodu półwyspu Apenińskiego lub hiszpanów, półwyspu Pirenejskiego. Kolonizacja nie zamorska, lecz sąsiednich obszarów przyczyniła się najbardziej do rozrostu liczebnego danego narodu i jej to zawdzięcza swą olbrzymią liczebność naród Wielkorosyjski. Ważnym czynnikiem liczebnego i mocarstwowego rozrostu Polski były uzyskanie, czy odzyskanie grodów Czerwieńskich (późniejszej Galicji Wschodniej) i unja z Wielkim Księstwem Litewskim.

Podczas połączenia Litwy z Polską, Litwa ze wszystkiemi swemi ziemiami ruskiemi liczyła około miljona mieszkańców, w czem litwini stanowili około 1/5. Ludność Litwy w końcu XV wieku szacuje Papce na 1 miljon, korony na 1 i pół miljona, Prus i Mazowsza na pół milj., obszar zaś Wielkiego Księstwa Litewskiego był wówczas 3 razy większy od obszaru Korony, zaludnienie zaś Litwy było przeciętnie 4 i pół mniejsze od zaludnienia Polski. Od XV wieku do końca XVIII wieku ludność Wielkiego Księstwa zwiększyła się 8-krotnie, ludność zaś Korony zaledwo 3-krotnie, wkluczając w to Mazowsze. Pochodziło to z procesu kolonizacyjnego, który wypełnił historję polską w ciągu ostatnich 3-ch wieków.

Drogą dla Polski na wschód była okolica współczesnego Brześcia przecięta Bugiem, Narwią, Muchawcem, blisko podchodzącemi do Jasioldy, a stąd przez Prypeć i Dniepr dająca możność opanowania wschodu.

Dla wzmocnienia swego terytorjum dziejowego Polska zaczęła wyżej wskazane drogi rzeczne w końcu 18 wieku regulować, łączyć kanałami, uspławniać. Kanał Królewski, łączący system Wisły z systemem Prypeci, kanał Ogińskiego, łączący system Niemna z systemem Prypeci, zostały przeprowadzone w owej epoce, kanał Berezowski łączący Dźwinę i Berezynę został uplanowany wówczas.

Proces kolonizacji Wschodu napotykał przeszkody na południu w najściach tatarskich. Proces kolonizacji ziem północno-wschodnich napotykał przeszkody w bagnach poleskich i w olbrzymiej ilości nieużytków błotnych.

Proces kolonizacji Wschodu i asymilacji pod wpływem polskiej państwowości i polskich wpływów kulturalnych był zatamowany, w wielu miejscowościach się cofnął, w innych odbywał się nader wolno, choć żywiołowo w okresie naszego politycznego ujarzmienia. Obecnie nie zdołaliśmy go wznowić świadomą i celową akcją, nie kalecząca, lecz wzmagającą życie gospodarcze ziem wschodnich.

W pierwszej połowie XIX stulecia wskutek gorszych warunków gospodarczych na ziemiach wschodnich, niż w innych naszych dzielnicach, mieliśmy mniejszy niż w innych przyrost ludnościowy.

W krótkim okresie Królestwa Kongresowego przyrost faktyczny równał się 1,420,347, stanowiąc przeszło 3 proc. rocznie, ludność bowiem wzrosła z 2,7 milj. do 4,2 milj. Przyrost faktyczny Królestwa Kongresowego był znaczniejszy od jego przyrostu naturalnego, dla spotęgowania bowiem produkcji krajowej minister Drucki-Lubecki ściągał przemysłowców wielkich i drobnych z zagranicy, przeważnie z Niemiec. Wówczas to położono podwaliny przemysłu Królestwa i zapoczątkowano Łódź, osadę niemieckich tkaczy.

W cztery lata po zaborze, w 1776 r., ludność Galicji wynosiła 2,5 milj. w 1786 r. — 2,8 milj. W owe czasy ziemie, które potem stały się terytorjum Królestwa były mniej ludne, gdyż w r. 1816 Królestwo liczyło 2,7 miljona, w 1846 r. Królestwo liczbą ludności wyprzedza Galicję, liczy już 4,8 milj., gdy Galicja 4,5 milj. Przed wojną Królestwo posiadało o 4 milj. ludności więcej, niż Galicja: miało znaczniejszy teren 127,000 km., gdy Galicja 89,000 i posiadała wielkie centra przemysłowe, które wskutek konkurencji krajów czeskich i dolnej Austrji nie mogły się w Galicji rozwinąć.

Poznańskie w r. 1776 liczyło 12 mieszkańców na 1 km. kw., Prusy Zachodnie 18, gdy w tymże samym czasie prowincje nadreńskie posiadały 49, Saksonja 76, Westfalja 36 mieszkańców na km. kw. W ciągu pierwszego 20-lecia po zaborze Poznańskie i Prusy Zachodnie stały się naturalnym terenem kolonizacyjnym dla gęsto zaludnionych prowincyj Niemiec. W r. 1831 Poznańskie posiadało 35 mieszkańców na km., Prusy Zachodnie 30. W 1871 r. Poznańskie 54, Prusy Zachodnie 51. Był to okres kolonizacji niemieckiej.

Rzecz charakterystyczna, że jakkolwiek Rząd Pruski wyasygnował olbrzymie środki na kolonizację Poznańskiego i Prus Zachodnich, od 1886 r. do 1914 — 600 milj. marek, jednak rezultaty ludnościowe tej wielkiej akcji finansowej, która bezwarunkowo podnosiła gospodarczo kraj, były bardzo nikłe. Osadzono zaledwo sto pięćdziesiąt tys. Procent niemieckiej ludności w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich w ciągu stu lat nie uległ zmianie na korzyść Niemców. Pochodziło to stąd, że w ostatnich 10-leciach przed wojną od 1882 r. niemal całkowity przyrost naturalny ludności Niemiec koncentrował się w okręgach przemysłowych, w miastach i osadach fabrycznych. Chociaż przemysł czynił pewne postępy na Wschodze Państwa, jednak znacznie szybsze jego postępy były na Zachodzie i wytworzył się stąd zamiast „Drang nach Osten" „Drang nach Westen". Ludność polska Poznańskiego i Prus Zachodnich po 70 roku emigrowała do Stanów Zjednoczonych, idąc śladami ludności niemieckiej. Zabór Pruski położył podwaliny polskiej kolonji w Ameryce i one są tam najliczniejsze, gdzie najliczniejszą była kolanizacja niemiceka. Emigracja Niemców do Ameryki, która w 1881 r. posiadała maksimum 220,000 na rok, następnie stale się zmniejszała i w ciągu ostatnich lat 20 przedwojennych przeciętnie nie dochodzi 20,000, ustaje też emigracja masowa z Poznańskiego i Prus Zachodnich oraz Śląska do Ameryki, natomiast rozwija się z tych prowincyj wychodźtwo do Westfalji. Już spis ludności w 1900 r. wykazuje w 2-ch powiatach westfalskich przeszło połowę ludności polskiej.

Daliśmy naogół niemal półmiljonowe osadnictwo polskie w Westfalji i 3-miljonowe w Stanach Zjednoczonych. Ogółem uwzględniając także osadnictwo polskie w Południowej Ameryce i Rosji, poza granicami naszych ziem historycznych, nasze osadnictwo na obczyźnie wynosiło 4 milj.

Gdyby te 4 miljony znajdowały się na terenie naszych ziem historycznych, zwłaszcza na naszym wschodzie, posiadalibyśmy tam większość narodową, gdzie dziś jesteśmy mniejszością.

Czem jest naogół nasze uchodźtwo na obczyźnie: Stanem piątym.

„Dziś staczamy się powoli do piątego stanu Europy i Ameryki" — pisaliśmy w sprawie polskiej. Stan 5, to proletarjat w łachmanach, to wyrobnicy dzienni, pracujący jak zwierzęta juczne. Stan piąty to nie proletarjat fabryczny, fachowy i zorganizowany, którego głos wpływa na reglamentację pracy, który wzrusza nie swą nędzą, ale swym pędem do prawdziwego ludzkiego istnienia, do rozwoju duchowego.

Piąty stan żyje z dnia na dzień, płodzi dzieci bez myśli o ich losie, wiedząc, że ich pozycji już nic nie obniży. Los kobiet stanu piątego to praca jucznej, często źrebnej klaczy lub prostytucja. Byliśmy niegdyś narodem szlacheckim — rycerskim. Poczucie honoru i bunczuczność szlachty, jej bezinteresowność w drobiazgach materjalnych nadawały ton naszemu życiu, jak w Anglji całemu narodowi nadaje ton życia jej arystokracja, w Szwajcarji — drobne mieszczaństwo, jak Czechom zamożne włościaństwo. Dziś my stawać się zaczynami narodem piątego stanu.

W Ameryce spotykamy uwarstwowienie emigrantów różnych narodów stosownie do zasobów kulturalnych, jakich są właścicielami. Najcięższe i najbardziej poniewierane rodzaje pracy są udziałem murzynów i polaków, tych białych murzynów Europy i Ameryki. Było to wynikiem naszego ujarzmienia politycznego i podziału. Zdawało się, że po osiągnięciu niepodległości, po odzyskaniu 47 procent naszego terytorjum historycznego, będziemy mogli nie rozsypywać naszą ludność po świecie, lecz wytworzyć odpowiednie warsztaty pracy w kraju.

Nie mamy ludzi za dużo w stosunku do obszaru naszego terytorjum i do jego bogactw naturalnych, mamy tylko brak kapitału i tę fatalną organizację państwową, która wywołuje wadliwą politykę gospodarczą i utrudnia ściągnięcie kapitału z zewnątrz.

Przed nami stoi dylemat wysyłania naszych sił roboczych do obcego kapitału lub ściągnięcia kapitałów do Polski. Kapitał nie przychodzi bezosobowo bez sił kierowniczych, bez sztabu przemysłowego i podoficerów przemysłu — dobrze wyszkolonych majstrów. Wizy naszych obstrukcyjnych konsulatów, zezwolenia Ministerstwa Pracy wydawane na mocy korespondencji z M. P. i H. i M. S. W. — wszystko to czyni naszą politykę gospodarczą przeciwległą tej, jaką prowadziło Królestwo Kongresowe w okresie prawnopaństwowej samodzielności. Mamy też rezultaty fatalne. Trzeba nawrócić z dotychczasowej naszej drogi.

Niemcy po zjednoczeniu w ciągu lat kilkunastu tak zwiększyły swe siły produkcyjne, że ich warsztaty pracy uczyniły ich emigrację zbyteczną i ona stała się ilościowo pięć razy a procentowo piętnaście razy mniejsza od emigracji polskiej i z kraju wysyłającego lud roboczy, stały się krajem z zewnątrz go ściągającym, pomimo swego gęstego zaludnienia i znacznej stopy przyrostu.

Ich organizacja państwowa przedwojenna, ich polityka ekonomiczna winne być dla nas wzorem.

Wład. Studnicki.

TARGI POZNAŃSKIE

Gdy w lutym bież. roku książę Walji, następca tronu angielskiego, otwierał jarmark przemysłu brytyjskiego (w Londynie i Birminghamie zorganizowany jednocześnie dla wygody lokalnych wystawców, przemysłowców i kupców), przemówienie swe, humorem i spokojem tchnące, rozpoczął od przypomnienia licznie zebranym przedstawicielom społeczeństwa zasady, iż „towar sam się nie sprzeda", że „okazja, raz stracona, nigdy nie powraca", że na rynku wszechświatowym, jak na wielkiem polowaniu, zbyt wielu jest rywali, a więc gdy pierwszy strzał swój myśliwy spudłuje, nie będzie miał czasu na strzał drugi, bo go sąsiad wyprzedzi.

Stare i poważne pismo „The Times", komentując zdrowy rozsądek połączony z uzasadnionym optymizmem w powyższem przemówieniu, nie zawahało się z całą surowością wskazać na braki i wady dzisiejszej dystrybucji towarów, produkowanych w Anglji. Podkreśla „The Times", iż zadziwiającem jest zachowanie się przemysłowców co do losu ich wytworów. Praktycy i teoretycy przemysłu gotowi są jak najszczegółowiej omawiać koszta produkcji fabrycznej, dostawy surowców, warunki transportu, obliczenia wartości pracy. Wszystko to jednak odbywa się pod znakiem — jakoby nie podlegającej dyskusji — przesłanki, iż produkt przemysłowy, po wyjściu z fabryki, znajdzie natychmiast nabywcę za tak zwaną cenę rynkową. Ta przesłanka w czasach dawniejszych, mniej od chwili obecnej skomplikowanych, a szczególniej w stosunku do niektórych niezbędnych w życiu codziennem towarów, miała swoją wartość i wagę. Jednak wiele rzeczy na świecie się zmieniło; cały szereg państw i narodów, dotychczas mało uprzemysłowionych, występuje na rynek światowy ze swoją nową, a często bardzo mocną produkcją; wzmaga się rywalizacja, następuje konieczność szukania nowych rynków, nowych odbiorców. I te brutalne, forsowne kroki, jakie Niemcy w roku 1914 rozpoczęły, aby siłą i przemocą, przez pięść i miecz, zdobyć nowe tereny dla ekonomicznej ekspansji, nie mogą obecnie przez nikogo być naśladowane, ponieważ i dla zwyciężonych Niemiec i nawet dla zwycięskich aljantów ta próba militarnej ekonomiki tylko straty dała, tylko zniszczenie i wyczerpanie przyniosła.

Otóż przy normalnej, pokojowej pracy, przy warunkach dopuszczalnej w stosunkach ludzkich ekonomicznej rywalizacji — przemysłowiec i producent nie powinni „zaspać pola", albowiem zadanie dystrybucji gotowego towaru i ulokowanie go na właściwym rynku, u należytego i odpowiedzialnego odbiorcy stało się dzisiaj, szczególniej w okresie powojennym, również poważnem i trudnem do rozważania, jak i sama wytwórczość. Nic lepszego w tym kierunku świat nie mógł wymyśleć ponad wejście w kontakt osobisty producenta i konsumenta, często jeszcze przez pośredników handlowych przedstawianych. Lecz i w to włożyć należy cały zapas energji, zdecydowania, przedsiębiorczości, aby „okazji nie stracić, gdyż ona nigdy nie powraca". Zapominać ani na chwilkę nie wolno, „iż towar sam się nie sprzeda".

Nic więc dziwnego, iż wiele miljonów funtów szterlingów anglicy włożyli w wystawę brytyjskiego imperjum, urządzoną w Wembley, trwającą przez dwa lata (1924 i 1925), ponieważ najwyraźniej zrozumieli oni, iż niczego żałować nie wolno dla osiągnięcia zbliżenia i bezpośredniego porozumienia między producentem brytyjskim a konsumentem produktów, wytwarzanych w Anglji. Niezwłocznie po wystawie w Wembley wznowili ci energiczni wyspiarze corocznie powtarzany jarmark przemysłu brytyjskiego, który setki tysięcy przemysłowców stawia w kontakt ścisły z odbiorcami towarów. Obroty tego jarmarku w roku 1926 przekroczyły 20 miljonów funtów szterlingów. Około 200,000 nabywców z różnych części świata zwiedziło tereny wystawowe i mogło, badając gatunek towarów na miejscu, mieć informacje bezpośrednie. Cenniki i katalogi drukowane były w dziewięciu różnych językach dla dogodności kupców.

Nietylko Anglja uważa za konieczne reklamować wytwórczość swoją i zaznajamiać z nią szeregi nowych odbiorców. Na rok 1926 międzynarodowa izba handlowa zapowiada na obszarze kuli ziemskiej 389 wystaw przemysłowo - handlowych, targów i jarmarków. Z tej liczby 63 wystawy i targi zapowiedziane są na terenie Anglji, 72 we Francji, 61 w Niemczech, 43 w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, 14 w Holandji, 13 we Włoszech i t. d. Austrja, Grecja, Jugosławja mają mieć po 4 wystawy w ciągu 1926 roku, zaś prawie na ostatniem miejscu stoi Polska z jej 3-ma wystawami-targami.

Że kraj nasz przechodzi ciężki kryzys gospodarczy, a z nim i państwowy, powolny, lecz wyczerpujący, każdy z nas wie dokładnie, bo na swej skórze obywatel polski te kryzysy odczuwa. Ale nie wolno upadać na duchu, nie wolno rąk pokładać. Wzmożona praca ze wzmożoną oszczędnością na każdem polu, zdrowa i logiczna organizacja wraz z praktyczną i rozumną kalkulacją — dopomogą Polsce do wydobycia się z kłopotów teraźniejszości. Tylko nie wolno przeszkadzać wysiłkom, tylko nie należy rozbijać zbiorowych poczynań, a trzeba łączyć się w jedną potężną całość kooperacji wszystkich obywateli wszystkich stanów dla wzmożenia mocy i dobrobytu państwa i narodu polskiego.

Te same zasady, iż nie wolno tracić okazji, a przeciwnie szukać jej należy lub ją stworzyć, iż towar sam się nie sprzeda, a trzeba, by producent towaru z nabywcą bezpośrednio się spotkał, zaczęło i nasze społeczeństwo, za przykładem Anglji, Ameryki, Włoch i t. d., stosować w praktyce. Pierwszy Poznań stworzył stałą instytucję międzynarodowych targów poznańskich. Dawna wieża Śląska przy ulicy Głogowskiej otoczona została gmachami i halami, w których przemysł polski wytwórczość swą wystawiać może.

Od 2 do 9 maja 1926 roku trwać będzie międzynarodowy targ poznański.

Sądzić należy, iż chociaż przemysł polski i handel przeżywają ciężki kryzys, tak przemysłowcy, jak i kupcy nasi, tłumnie się zgromadzą w Poznaniu w czasie trwania targu, stosując w praktyce zasadę angielską „towar sam się nie sprzeda".

K. Zienkiewicz.

SPRAWA LINDEGO

Gdy ministrowie siadają na ławie oskarżonych, Temida, bogini sprawiedliwości, dzierżąca w jednej ręce miecz, a w drugiej wagę, wypuszcza wagę z ręki, aby oburącz silniej trzymać miecz, po który tłum wyciąga ręce.

Procesy ministerjalne są zawsze objawem zakłócenia ładu wewnętrznego w państwie, a nie środkiem przywrócenia równowagi.

Proces Lindego był takim ministerjalnym procesem, pomimo, że Linde nie odpowiadał przed sądem za swoją działalność na stanowisku ministra poczty i telegrafu, względnie na stanowisku ministra skarbu. Był nim ze względu na towarzyszące mu okoliczności i na cel, jaki spodziewano się tym procesem osiągnąć.

* * *

W masy wszczepiono wiarę, że cała nasza administracja państwowa jest skorumpowana, że na każdym kroku i w każdym urzędzie w jasny dzień popełnia się stek nadużyć, że rozkrada się mienie państwowe, nadużywa stanowisk urzędowych do celów osobistych. Wiara ta szybko znalazła wyznawców w masach zbiedzonych i wynędzniałych, czy to z powodu ostrego kryzysu gospodarczego, jaki od długiego czasu przeżywamy, czy też z powodu rygorystycznej polityki skarbowej, nie cofającej się nawet przed takimi środkami, jak sekwestr i sprzedaż z licytacji ostatnich najniezbędniejszych sprzętów i garderoby. Wiara w złodziejstwa i korupcje, w łapownictwo i samowolę administracji państwowej tak przecież prosto i zrozumiale tłumaczy skomplikowane przyczyny smutnego stanu rzeczy, tak doskonale nadaje się do odwracania uwagi od przyczyn istotnych, a w dodatku daje się doskonale wyzyskać do celów agitacyjnych. Każdy, kto do tłumu idzie z hasłem bezwzględnej walki z nadużyciami i korupcją na urzędach, z góry pewien jest oklasków i powodzenia.

* * *

Kto chce na dłuższy czas posiąść wpływ w tłumie, musi umieć skupić na sobie jego uwagę. A na to trzeba mieć stale w pogotowiu jakąś świeżą sensację. Po wmówieniu w tłum, że w urzędach siedzą złodzieje, a w więzieniach przeważnie męczennicy, wysunięto hasło walki z nadużyciami i korupcją i mobilizowano tłum do tej walki. Z kolei nie pozostawało już nic innego, jak tylko demasować tych złodziei o komunikować tłumowi wyniki. Ale tu zaczęły się trudności. Złowiono parę płotek i szumnie to zareklamowano, grubszej zwierzyny nie upolowano. Tłum przestawał interesować się oskarżeniami.

W tym momencie, krytycznym ze względu na wyczerpanie „ciągnących" haseł, jako rezultat misternych intryg, które znajdą jeszcze swego kronikarza, rodzi się sprawa Lindego.

Z dumą zaprezentował ją swoim zwolennikom warszawski „Robotnik", podając ją na raty w małych dawkach, aby jak najdłużej utrzymać napięcie w swoich szeregach. Codziennie nowe rewelacje, nowe oskarżenia i nowe przypuszczenia, a w międzyczasie wołanie o prokuratora, sąd, więzienie.

W obronie Lindego nie podniósł się ani jeden głos, nie usiłowano znikąd ani jednem słowem prostsować fantastycznych pogłosek, jakby chciano utrwalić wrażenie, że rzeczywiście tym razem połów się udał, że złapano wielkiego, a może największego w Polsce złodzieja, że ostrze trafiło na wrzód.

I sprawa znalazła się w sądzie, a Linde na ławie oskarżonych.

* * *

Lindego oskarżono o świadomą działalność na szkodę państwa i o spowodowanie miljonów strat dla skarbu państwa. Podstawę do tego oskarżenia dały rewelacje „Robotnika", dotyczące trzech wypadków: 1) Linde zakupił dla P. K. O. większą ilość galicyjskich obligacyj kolejowych, płacąc znacznie drożej za nie, niż płacono na giełdach i w obrotach prywatnych. 2) Linde udzielił gwarancji w imieniu P. K. O. za swego brata, który na zasadzie tej gwarancji otrzymał zagranicą kredyt, później długu tego nie zapłacił i P. K. O. musiała uczynić to za niego. 3) Z polecenia Lindego P. K. O. kupiła w Łodzi nieruchomość, płacąc za nią o kilkadziesiąt tysięcy dolarów więcej, niż zdaniem rzeczoznawców można było zapłacić i niż poprzednio żądali właściciele od innych reflektantów.

Fakty ze zostały w czasie śledztwa potwierdzone.

* * *

Po kilkudniowym przewodzie sądowym, prowadzonym niezwykle starannie i drobiazgowo, sąd doszedł do przekonania, że o złej woli ze strony Lindego mowy być nie może, a temmniej o chęci zysku. Zbadawszy okoliczności, w jakich zawierane były przez Lindego wszystkie te trzy tranzakcje, sąd uznał, że „przestępstwo", jakiego dopuścił się Linde, można zakwalifikować jedynie jako przekroczenie zakresu kompetencji, zaniedbanie dopełnienia wszelkich wymaganych przez statut czy inny regulamin formalności. Inna rzecz, że gdyby Linde wszystkie te formalności załatwił, operacje zakwestjonowane byłyby prawdopodobnie tak samo zawarte i z takim samym ujemnym skutkiem— ale to w oczach sądu Lindego nie usprawiedliwiało.

* * *

§ 636 cz. I: „Urzędnik, winny dokonania czynu służbowego, do którego nie był upoważniony z mocy ustawy lub wydanego mu zlecenia, lub nawet takiego, do którego był upoważniony, o ile czyn nie był wywołany przez podstawę prawną — ulegnie karze aresztu".

Oto jeden jedyny paragraf kodeksu karnego, który sumienie sędziowskie mogło zastosować przy kwalifikacji „przestępstw" Lindego. Zarzuty świadomej działalności na szkodę państwa i chęci zysku nie wytrzymały próby sądowej.

Ilu jednak jest urzędników w Polsce, którzy tego paragrafu nigdy nie przekroczyli? Śmiemy twierdzić, że niema ani jednego, lecz mamy na myśli urzędników, a nie bezduszne kółka maszynek i werków urzędowych.

* * *

Bo w Polsce mamy dwa rodzaje urzędników: kółeczka z rozsypanych zaborczych systemów biurokratycznych, z których co dzielniejsze jednostki zmajstrowały różne maszynki i werki urzędowe i puściły w ruch, nie troszcząc się o to, czy te zabawki zazębiają się ze sobą w jedną wielką całość — maszynerję państwową, czy też kręcą się w próżni — oraz ludzi, którzy widzą co krok wady takiej organizacji i na własną odpowiedzialność szukają wyjścia, gdy jakaś sprawa w jakiejś maszynce dobiega martwego punktu i tonie w makulaturze niezałatwionych aktów. Mamy bezdusznych biurokratów, dla których decyzja i odpowiedzialność za nią są pojęciami nieznanymi oraz ludzi, rozumiejących wymagania życia i nie wahających się w pewnych wypadkach ominąć jakiś bezmyślny przepis i na własną odpowiedzialność powziąć decyzję.

* * *

Linde należał do tych drugich. W pierwszych dniach po upadku zaborów, w nowem rodzącem się dopiero państwie naszem, ktoś — zdaje się, że p. Moraczewski — nazwał go fachowcem. Ten przymiotnik przylgnął już do niego. Kazano mu organizować w Polsce pocztę i telegraf, jako fachowcowi. Zorganizował i świetnie zorganizował. Potem kazano mu robić P. K. O. Robił i zrobił. Mniej świetnie, niż pocztę i telegraf, ale nikt nie śmiał krytykować, bo nikt się na tem nie znał — a wreszcie ludzi, którzy napiętnowani zostali raz jako fachowcy, u nas się nie krytykuje — fachowiec, to coś takiego, jak „zagranica".

I Linde rządził w P. K. O. wszechwładnie. Były instancje kontrolne i nadzorcze i Linde nieraz odwoływał się o radę i decyzję, ale zbywano go: „Pan przecież sam najlepiej to zrobi — przecież pan jest fachowcem!" Gdyby Linde był biurokratą i nic nie robił, nie uzyskawszy przedtem na każdy krok odpowiedniej ilości „papierków" znoszących odpowiedzialność, P. K. O. mieściłaby się dotychczas w czterech pokojach przy pięciu biurkach. Nie byłaby oddała tych nieocenionych usług, jakie oddała państwu w różnych potrzebach, nie byłoby nawet tych okruchów oszczędności społecznej, jakie zebrała, nie byłoby jedynej instytucji, do której z zaufaniem wszyscy dotychczas się odnoszą, nawet polacy w Ameryce, tak nawet ci, bo jedna P. K. O. nie wydrwiła ich i nie okpiła waloryzacja depozytów dolarowych.

Linde dokonał kilka tysięcy operacji na wielką skalę — większych od zakwestjonowanych — nie mając „wydanego sobie polecenia", nie mając nawet „podstawy prawnej" i w ten sposób stworzył olbrzymią dzisiejszą P. K. O. dzięki tym tranzakcjom. Przy trzech pomylił się, czy oszukano go. W instytucjach prywatnych na dwie operacje z zyskiem, jedna może być ze stratą i jeszcze uważa się to za znak wyjątkowego talentu i zasługi kierownika instytucji.

* * *

Gdyby oskarżenie, wytoczone przeciw Lindemu rozpatrywała jakaś komisja dyscyplinarna, lub jakaś sejmowa komisja śledcza, złożona z osób, znających warunki pracy w takich instytucjach, jak P. K. O., lub zdolnych pojąć te warunki, orzeczenie jej byłoby niewątpliwie pięknem świadectwem uznania jego działalności. Ale tego nie uczyniono, mimo, że zawsze się tak robi, zanim sprawę posyła się do sądu, który nie wchodzi w żadne szczegóły, lecz bada, czy zaskarżone czyny kolidują z kodeksem, czy nie. Sąd skaże nawet takiego, który dla zapobieżenia stracie miljona, bez „wydanego zlecenia" lub bez „podstawy prawnej" straci tysiąc, a choć nie skaże, to na ławie oskarżonych posadzi.

* * *

Linde nie doczekał wyroku. Zbrodniarz z tłumu wydarł Temidzie miecz i sam go osądził. Trzmielewski, jeśli nawet nie jest świadomem narzędziem wrażej ręki, to jest narzędziem nieświadomem, jest cennym dowodem, że burzycielska robota poczyniła wielkie postępy. Dziś zamordowano ministra przed wyrokiem sądowym — jutro — jeśli na kogoś rzucą oskarżenie — zamorduje go inny Trzmielewski przed śledztwem.

Grunt został bezpłatnie — ideowo przygotowany. Wmówiono w tłum, że wszyscy dygnitarze państwowi kradną, ekscytowano go hasłem walki z korupcją, pokazano mu nawet takiego „wielkiego złodzieja" i kazano wierzyć, że to jest naprawdę złodziej — gdy więc sprawa w sądzie przybierać zaczęła nieoczekiwany zgoła obrót — zapłacony jakiś zbir miał już łatwą robotę: szepnął tu i tam, że sąd „złodzieja" uniewinni i Trzmielewski strzelił. Teraz inny płatny zbir czerezwyczajki szeptać zacznie, że Trzmielewski jest męczennikiem i rychło patrzeć, aż zacznie się nowa serja samosądów.

* * *

Śledztwo przeciw Trzmielewskiemu ujawniło szczegóły, rzucające bardzo ciekawe światło na zbrodniarza. Trzmielewski ma za sobą przeszłość kryminalną. Niejednokrotnie był karany za kradzieże, należał nawet do szajki włamywaczy. W wojsku służył pod przybranem nazwiskiem Ćmielowskiego.

Wobec takich odkryć o jakimś „odruchu oburzenia" człowieka mało krytycznego, który na serjo brał sensacyjne oskarżenia na łamach prasy brukowej, mowy być nie może. Raczej należy przypuszczać, że mord został popełniony z premedytacją. Śledztwo przeciw Trzmielewskiemu powinno być prowadzone drobiazgowo i nie wolno cofnąć się przed żadną hypotezą. Nawet najbardziej nieprawdopodobne brać należy pod uwagę i sprawdzać. Bo może uda się wykryć rękę, której Trzmielewski za narzędzie służył.

Może jakimś siłom zależało na tem, aby wyzyskać nierozważnie przez nas samych wywołany nastrój nieufności i podejrzeń w stosunku do władz i ich wysokich przedstawicieli. Zwalczanie kogoś jego własną bronią jest i najtańsze i najefektowniejsze. Może siły te uznały za świetny i pożyteczny dla nich w skutkach pomysł przeciwstawienia Niewiadomskiemu i Muraszce Trzemielewskiego. Kto ma sposobność słuchać czasem rozmów i opinji wygłaszanych w tłumie, z przerażeniem spostrzega, że panuje tam już tendencja obwołania Trzmielewskiego bohaterem, uosabiającym „gniew ludu". Może gdzieś panuje wielka radość, że się udało, że w Polsce już oficjalnej sprawiedliwości spróbowano z powodzeniem wytrącić miecz z ręki i osądzono pierwszego ministra...

NA CZASIE

„Rosyjski kawałek"

Byłem niedawno w jednym z warszawskich przybytków lżejszej Muzy. Wiadomo że w programie takiego teatrzyku figuruje stale żyd, nagość i polityka. Do tych trzech nieodzownych punktów przyłącza się zwykle t. zw. „rosyjski kawałek".

„Żyd" rozbawił publiczność szczerze (nic dziwnego, wszak był nim Gierasiński, a wiadomo, że nikt w Polsce tak nie „robi żyda", jak ten mistrz nad mistrze), nagość obudziła już znacznie mniej emocji (zbyt częste raczenie się konfiturami sprowadza przesyt...), zaś polityka wywołała wśród widzów zdecydowaną już senność (w rzeczywistości bywa nieraz polityka daleko bardziej humorystyczna, niż w teatrzyku....).

Dopiero „rosyjski kawałek" zelektryzował audytorjum. Papaszki i rubaszki, tęskna „Wołga" i „naplewat'", mistycyzm i atmosfera dziegciu, — wszystko to wprawiło widownię w jakąś dziwną rzewność w momentach lirycznych, to znowu w szczery entuzjazm, gdy ogniści kozacy wycinali na scenie siarczyste prysiudy....

Nie mamy zamiaru kwestjonować wartości artystycznej rosyjskiego folkloru i pierwiastków rosyjskich w sztuce. Ale tu chodzi o co innego.

Zarzuca się Wielkopolanom, że zbytnio przejęli się kulturą niemiecką, że to nieco zatarło u nich narodowy charakter psychiki polskiej. Zarzuty te są w zasadzie słuszne. Dusza narodu jest skarbem tak cennym, że strzec jej należy troskliwie przed jakiemkolwiek wynaturzeniem. Ale jeżeli tak, jeżeli walczymy z germanizacją duszy Poznańczyka czy Ślązaka, to czyż wolno nam zamykać oczy na rusyfikację — nie duszy może, ale w każdym razie upodobań kulturalnych — Warszawianina? Kultura pruska jest nam wstrętną. A mongolsko-bizantyńska „kultura" moskiewska ma być Polakowi bliższa i sympatyczniejsza?

Oczywiście żartobliwy przykład „rosyjskiego kawałka" w teatrzyku jest tylko drobnym, choć dosyć znamiennym objawem przykrego zjawiska, o którem mówimy. Ale są też objawy poważniejsze. Choćby geneza rozbiórki Soboru na placu Saskim. Nie mamy tu na myśli owego skandalicznego paruletniego „burzenia" moskiewskiego intruza, o którem słusznie mówiono, że gdyby pozwolono dzieciom się bawić w rozbiórkę, prędzejby ją były ukończyły. Chodzi nam o samą ideę usunięcia tego upokarzającego pomnika niewoli z najpiękniejszego placu stolicy Polski. Zdawałoby się, że z chwilą odzyskania niepodległości każdy Warszawianin z uczuciem radosnej ulgi przyjmie wiadomość o zamierzonem rozwaleniu znienawidzonej cerkwi i że nie znajdzie się nikt, ktoby bronił tego symbolu jarzma kałmuckiego. Bo czyż możemy sobie wyobrazić Francuza, protestującego przeciw rozbiórce najpiękniejszego choćby pomnika Bismarcka czy Wilhelma, któryby stanął na placu Zgody w Paryżu, gdyby np. Niemcy panowali jakiś czas w stolicy Francji.

A jednak byli Polacy — i to nawet w dość sporej liczbie, którzy oburzali się na projekt wyrzucenia bizantyńskich bań cerkiewnych z serca Polski. Argumentowali patetycznie, że „Polacy nigdy niczego nie burzyli", że i Hiszpanja uszanowała wspaniałe dzieła sztuki swych najeźdźców, Maurów i t. d. Były to oczywiście puste frazesy, bo burzenie pomnika hańby nie jest występkiem, lecz prostym obowiązkiem narodowym, a maurytańskie dzieła sztuki miały trochę większą wartość artystyczną, niż ciężka „paka", przytłaczająca plac Saski. Ale pod tymi frazesami kryło się coś innego: podświadomy może sentyment do kultury i ducha rosyjskiego.

Dzisiaj Sobór leży już w gruzach. Ale łatwiej było usunąć ten potężny gmach moskiewski, niż usunąć z psychiki polskiej pewne niemiłe pozostałości niewoli rosyjskiej. Oczywiście istnieje uzasadniona nadzieja, że następne pokolenie będzie od nich całkowicie wolne. Wtedy i „rosyjskie kawałki" w teatrzykach warszawskich będą mniej przemawiały do uczuć słuchaczy.

Ignacy Wieniawski

Ustrój władz samorządowych Rzeczypospolitej Polskiej

II.

Dawne Królestwo Kongresowe.

W b. Kongresówce, liczącej przed wojną 12,631,392 mieszkańców, ilość miast wynosiła 185 z ludnością 3,356,728, t. j. 26,6 proc. całej ludności kraju. Dane te odnoszą się nie do wszystkich lecz największych bądź co bądź miast, które tworzą samodzielne powiaty miejskie nie podlegające władzy starostów, lecz podległe bezpośrednio wojewodom. Miast, wydzielonych z powiatów mamy w b. Kongresówce — 21; zgodnie z ustawą winny one liczyć ponad 25,000 mieszkańców; mamy jednak kilka miast, których ludność nie dosięga tej liczby. Wydzielone z powiatów miasta liczą razem 2,231,000, t. j. 17,6 proc. ludności całego kraju, a 66,1 proc. całej ludności wiejskiej. Oto te miasta, z ilością mieszkańców zgodne z ostatnim spisem:

1. Będzin	28,000
2. Białystok	77,000
3. Częstochowa	82,000
4. Dąbrowa-Górnicza	40,000
5. Kalisz	45,000
6. Kielce	41,000
7. Lublin	100,000
8. Łomża	23,000
9. Łódź	517,000
10. Pabjanice	30,000
11. Piotrków	40,000
12. Płock	26,000
13. Radom	62,000
14. Siedlce	31,000
15. Sosnowiec	86,000
16. Suwałki	17,000
17. Tomaszów-Maz.	29,000
18. Warszawa	931,000
19. Włocławek	40,000
20. Zawiercie	29,000
21. Żyrardów	21,000

(Nadmienić trzeba, że Rzeczpospolita posiada 635 miast i 277 miast powiatowych).

W b. zaborze rosyjskim właściwie samorządu nie było. Za W. Księstwa Warszawskiego ustrój opierał się na Radach Departamentowych, Radach powiatowych, na Radach Municypalnych w 4 większych miastach i Radach Miejskich w innych miastach. Statut organiczny z 1832 r. przewidywał zgromadzenia szlacheckie wiejskie i miejskie, zgromadzenia samorządowe, rady wojewódzkie, ale tych urządzeń nie wprowadzono w życie. Reformy Wielopolskiego ustanawiały samorząd gubernjalny, powiatowy i miejski, co znalazło wyraz w ukazie z 14 marca 1861 r. i w czterech ustawach z 5 czerwca 1861 roku. Po powstaniu w 1863 r. samorząd gubernjalny, powiatowy i wiejski pozostał na papierze, natomiast ukazem z 2 marca (19 lutego) 1864 roku wprowadzono samorząd do gmin wiejskich.

Podczas wojny wszechświatowej, w okresie okupacji przez państwa centralne, wprowadziła władza niemiecka w obrębie Jenerał - Gubernatorstwa Warszawskiego 1 lipca 1915 r. samorząd w 21 miastach rozporządzeniem ogłoszonem pod poz. 25 w Nr. 12 Dz. rozp. Jen. Gub. Warszawie, a rozporządzeniem z 5 maja 1916 r. poz. 86 wprowadzono samorząd miejski dla miasta Warszawy, wydając innem rozporządzeniem tej samej daty poz. 87 ordynację wyborczą do Warszawskiej Rady Miejskiej.

SAMORZĄD MIEJSKI.

1. Obowiązujące przepisy.

Rozporządzeniem z 29.11 1918 r. poz. 21 w Nr. 2 Dz. Urzęd. M. S. W. polecił Minister Spraw Wewnętrznych, istniejącym wówczas samorządom miejskim uzupełnić do 10 grudnia skład Rad Miejskich drogą — jak się rozporządzenie wyrażało — demokratycznej kooptacji, grożąc w przeciwnym razie zarządzeniem nowych wyborów. Już 13 grudnia 1918 roku pojawił się w Nr. 20 D. P. pod poz. 58 dekret Naczelnika Państwa, wprowadzający tymczasową ordynację wyborczą do Rad Miejskich na obszarze b. Królestwa Kongresowego. Dekret Naczelnika Państwa z 4-go lutego 1919 r. poz. 140 (Nr. 13) D. P. urządził nanowo samorząd miejski, wprowadzając te postanowienia w 150 miastach, wyliczonych w dołączonym do niego wykazie łącznie ze stolicą Warszawą. Ustawą z 20 lutego 1920 roku poz. 91 (Nr. 19) D. U., upoważniono Ministra Spraw Wewnętrznych do rozciągania w drodze rozporządzenia, mocy obowiązującej dekretu o samorządzie miejskim z 4.2 1919 r. na miasta w b. zaborze rosyjskim, nie wliczone w dodatku dołączonym do powyższego dekretu. Ponieważ dekret lutowy 1919 r. nie zawiera przepisów wyborczych, a nawet jeżeli chodzi o liczbę radnych — powołuje się na poprzedni dekret z 1918 r., przeto ten ostatni nie stracił swej mocy, o ile jego postanowienia nie zostały zmienione późniejszemi przepisami. To samo się odnosi do regulaminu wyborczego z 17.II 1918 r., który został potem uzupełniony co do sposobu wybierania ławników.

2. Charakter prawny gminy miejskiej. Według artykułu 2 dekretu z 4.2 1919 roku gmina jest „samorządną jednostką terytorjalną i osobą publiczno - prawną". Jest to określenie czterech kryterjów miarodajnych dla charakteru gminy: terytorjalności, przymusu, samorządności i osobowości prawnej.

3. Tworzenie gmin miejskich i zamiana granic (art. 3 i 4 d. z 4.2 1919 r.) „Ustanowienie nowej gminy miejskiej, skasowanie istniejącej oraz wszelkie zmiany jej granic mogą być uskutecznione tylko w drodze ustawodawczej po wysłuchaniu wniosków zainteresowanych ciał samorządowych".

4. Ludność. Dekret o samorządzie miejskim odróżnia wśród ludności miasta „członków gminy" (art. 5—8). Są nimi te osoby, mające polskie obywatelstwo państwowe, które mieszkają w gminie stale od sześciu miesięcy; służą im trzy prawa: a) udział w wyborach gminnych, b) sprawowanie urzędów gminnych z wyboru i c) korzystanie w razie koniecznej potrzeby z prawa do pomocy ze strony gminy. Anomalją w tej mierze jest fakt, że dekret z 1919 r. mówi tylko o prawach członków gminy, a milczy o obowiązkach. Ani dekret z 1918 r. ani też z 1919 roku nie wprowadzają obowiązku przyjęcia urzędu gminnego z wyboru.

5. Władze miejskie. Dekret z 1919 roku rozróżnia Radę Miejską, Magistrat i burmistrza. Prezydent lub burmistrz ma w dekrecie zawarowane prawo veta, służące mu wobec uchwał magistratu.

ZAKRES DZIAŁANIA GMINY MIEJSKIEJ.

Zakres działania gminy miejskiej jest własny i poruczony. W sformowaniu tego zagadnienia przyjęto terminologię z ustawodawstwa austrjackiego zagmatwaną, drobiazgową i przestarzałą. Do własnego zakresu należą wszystkie sprawy, które dotyczą dobrobytu materjalnego, rozwoju duchowego i zdrowia jej mieszkańców. Pod poruczonym zakresem działania rozumieć należy współdziałanie gminy w ogólnej administracji państwowej. Dekret z 1919 r. tego zakresu bliżej nie określa tylko ogranicza się (art. 10) do stwierdzenia, że go „określają ustawy i rozporządzenia władz państwowych oraz umowy rządu z gminą". Brak szczegółowych przepisów wykonawczych w tej dziedzinie wprowadza chaos i zamieszanie do stosunków samorządowych.

RADA MIEJSKA.

Członkami Rady Miejskiej są radni i członkowie magistratu. Liczba radnych waha się od 12 — w miastach poniżej 5000 — aż do 120 Warszawa (Łódź 75 radnych). Radni i ich zastępcy w liczbie, wynoszącej połowę radnych, wychodzą z wyborów według dekretu o wyborach z 1918 r. Czynne prawo wyborcze do Rady Miejskiej mają wszyscy obywatele bez różnicy płci, którzy ukończyli 21 lat, posiadają przynależność państwową polską i mieszkają stale w obrębie gminy miejskiej conajmniej 6 miesięcy. Nie mogą wybierać: a) osoby pozostające pod kuratelą lub upadłością, b) osoby pozbawione praw lub ograniczenia w prawach na mocy wyroku sądowego, c) osoby utrzymujące szynki i domy rozpusty. Bierne prawo wyborcze posiadają osoby, mające czynne prawo wyborcze, conajmniej 25 lat skończonych i umiejące czytać i pisać po polsku. Głosowanie jest tajne i odbywa się na zasadach proporcjonalności. Rada Miejska jest przedstawicielką gminy, tudzież organem uchwalającym i kontrolującym. Jej zakres działania jest unormowany szczegółowo w art. 21 dekretu z 1919 roku.

MAGISTRAT.

Członkami magistratu są: w Warszawie prezydent, 3 wiceprezydenci i ławnicy; w Łodzi i Lublinie prezydent, 2 wiceprezydenci i ławnicy; w miastach wydzielonych z powiatów prezydent, wiceprezydent i ławnicy; w innych miastach burmistrz, jego zastępca i ławnicy. Liczba ławników wynosi w każdem mieście 10 proc. liczby radnych. Członkowie magistratu otrzymują stałe wynagrodzenia z miejskich funduszów; wysokość jego określa Rada Miejska przed wyborem członków magistratu. Wybiera się magistrat na 3 lata względnie do końca kadencji Rady Miejskiej. Magistrat jest organem zarządzającym i wykonawczym. Magistrat może powierzać sprawy należące do jego zakresu działania bądź poszczególnym swoim członkom, bądź powołanym przez siebie komisjom. Magistrat jest ciałem kolegjalnem. Magistrat w stosunku do Rady Miejskiej posiada ważne prawo (art. 62). Mianowicie: może zażądać w ciągu dwu tygodni rewizji takich uchwał R. M. które: a) przekraczają zakres działalności R. M., b) naruszają statut miejski lub obowiązujące ustawy, c) są niewykonalne lub mogą przynieść szkodę miastu. W dwu pierwszych wypadkach może być uchwała R. M. w myśl art. 68 unieważniona przez władzę nadzorczą. Dekret o samorządzie z dn. 7.2 1919 r. jest prowizorjum, które się fatalnie odbiło na działalności praktycznej władz samorządowych w b. Kongresówce. Brak przepisów wykonawczych, nieuregulowany stosunek do władz nadzorczych, powodował i powoduje ciągłe starcia i stratę czasu.

Aleksy Rżewski.

O moralność pracy

W poprzednim numerze „Prawdy" przedstawiliśmy tło zatargu pomiędzy magistratem m. Łodzi, reprezentującym w danym wypadku interesy związków robotniczych na zasadzie wskazówek lokalnej władzy państwowej, a naczelnym inżynierem robót kanalizacyjnych, wykonywanych przez miasto Łódź, p. Skrzywanem.

Inż. Skrzywan, obejmując kierownictwo robót kanalizacyjnych w Łodzi, zastrzegł sobie całkowitą wolność we wszystkich sprawach, dotyczących tych robót, poza sprawami natury finansowej. Zastrzeżenie to obejmowało przedewszystkiem absolutną swobodę w przyjmowaniu i kwalifikowaniu robotników i innego personelu, zatrudnionego przy tych robotach.

W roku bieżącym rozpoczęte roboty prawdopodobnie nie mogłyby być kontynuowane z powodu braku funduszów miejskich na ich sfinansowanie. Ponieważ jednak rząd zaofiarował miastu pożyczkę z funduszów budżetowych, na niezwykle dogodnych warunkach, roboty zostały rozpoczęte. Rząd udzielił pożyczkę pod warunkiem, że do robót przyjmowani będą tylko robotnicy za pośrednictwem Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy, t. zn. tacy, którzy w P. U. P. P. są zarejestrowani i pobierają zasiłek dla bezrobotnych. W ten sposób rząd pragnął odzyskać pewną część udzielonej miastu pożyczki, wydatkując mniej na zasiłki dla bezrobotnych w Łodzi.

Warunek ten został zaakceptowany przez miasto i przyjęty do wiadomości przez inż. Skrzywana.

Wmieszały się w tę sprawę jednak związki robotnicze i przy pomocy swych wpływów w samorządzie miejskim i w rządzie, uzyskały rzekomo solenne zapewnienie, że Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy delegować będzie do robót kanalizacyjnych tylko członków związków robotniczych przez te związki wskazanych.

Inż. Skrzywan, który gotów był przyjmować wyłącznie tylko bezrobotnych, zarejestrowanych w P. U. P. P. i pobierających zapomogi państwowe, początkowo pod presją magistratu i wojewody łódzkiego, zgodził się i na to, ale rychło przekonał się, że współpraca ze związkami jest w tym wypadku niemożliwa, gdyż związki przedewszystkiem dążyły do osiągnięcia celów, nie mających nic wspólnego z robotami kanalizacyjnemi.

Związki zapragnęły wykorzystać przynętę otrzymania pracy przy robotach kanalizacyjnych dla zasilenia swoich szeregów i wzmocnienia swoich wpływów i oczywista, że tylko pod tym kątem widzenia dokonywały wyboru robotników, domagając się kategorycznie przyjęcia każdego, kogo do roboty posłały, nie przyjmując do wiadomości żadnych objekcji natury technicznej ani względów na interes wykonywanych robót. W takich warunkach chaos na robotach zdawał się nieuniknionym. Robotnicy za właściwego pracodawcę uważaliby związek, a nie miasto, a odpowiedzialny kierownik robót stałby się w mniemaniu robotników tylko tolerowanym przez związki dozorcą, niemającym w kwestjach pracy nic do powiedzenia, a w kwestjach technicznych bardzo mało, a przynajmniej nic, nad czem nie wolno byłoby podyskutować w związkach, gdyby się tak podobało robotnikom.

Inż. Skrzywan zgłosił wobec tego swoją rezygnację ze stanowiska kierownika robót kanalizacyjnych w Łodzi. Magistrat rezygnacji tej do wiadomości nie przyjął pod naciskiem bardzo poważnego odłamu opinji publicznej, która uświadomiła sobie, że rezygnacja inż. Skrzywana równałaby się pogrzebaniu sprawy budowy kanalizacji.

Otrzymawszy zawiadomienie o nieprzyjęciu rezygnacji, inż. Skrzywan stanął na gruncie umowy zawartej z magistratem i do robót powołał robotników według swego uznania z pośród robotników, którzy w ubiegłym roku pracowali przy kanalizacji, przestrzegając jednak skrupulatnie, **aby nie został zatrudniony ani jeden robotnik z poza Łodzi i ani jeden, którypy nie był zarejestrowany w P. U. P. P., jako bezrobotny.**

Wybuchła burza. Związki wystąpiły wobec władz miejskich i państwowych z kategorycznem żądaniem udzielenia dymisji inż. Skrzywanowi za niepodporządkowanie się ich żądaniom, przyjętym przez miasto, a rzekomo także i przez władze państwowe. W razie dalszego pozostawienia inż. Skrzywana na stanowisku, związki oświadczyły, iż domagać się będą od rządu, aby cofnął kredyty na kanalizację, gdyż lepiej, aby kanalizacji nie było, aby przeszło tysiąc robotników straciło pracę, niż aby pracowali ci, których związki nie przeznaczyły do tej roboty.

Z drugiej strony, robotnicy, zatrudnieni przy robotach w każdej chwili gotowi są bronić swego prawa do pracy, zdobytej tylko na zasadzie swoich kwalifikacyj.

W chwili gdy to piszemy, sprawa nie jest ostatecznie załatwiona. Nie przypuszczamy ani na chwilę, by rząd wziął chociaż na chwilę pod uwagę możliwość cofnięcia udzielonych miastu na te roboty kredytów dlatego tylko, że roboty te są wykonywane przy zastosowaniu jak największych oszczędności i jak największej wydajności pracy robotników, a nie są traktowane jako podarunek dla związków zawodowych dla wyzyskania go do takich, czy innych celów.

Być może, że rząd nic nie miałby przeciw temu, gdyby udzielony przezeń kredyt został w lwiej części zmarnowany i pod płaszczykiem robót kanalizacyjnych spełnił rolę, jaką związki zawodowe chciały, aby spełnił. Tak przynajmniej wynika z nieoficjalnych enuncjacji miarodajnych osobistości oficjalnych, ale wątpimy, aby znalazł się ktokolwiek w rządzie, nawet reprezentant klasy robotniczej, któryby zechciał nadać takim tendencjom formę konkretną i takie polecenie podpisać, zwłaszcza w chwili, gdy znalazł się człowiek, który miał odwagę wystąpić i na padające ze wszystkich stron zapewnienia: „rząd tak chce", głośno odpowiedzieć: „Nie wierzę, by rząd mógł tak chcieć i robić będę tak, jak ja sądzę, że rząd chce".

Opinja publiczna pragnie wierzyć, że rząd chce, aby ofiara, bardzo ciężka ofiara, jaką ponosi, finansując z funduszów budżetowych roboty kanalizacyjne w Łodzi, została z jak największym pożytkiem zużyta, aby te roboty stały się ogniskiem czystej, żadnymi tendencjami politycznemi nieskalanej pracy twórczej, aby stały się szkołą prawdziwej pracy, której tak nam potrzeba. Wierzy, bo mówi to głośno inż. Skrzywan, człowiek prawy i czysty, niemający ani politycznego, ani materjalnego interesu w tem, by tendencyjnie interpretować intencje rządu. Strona przeciwna, która twierdzi, że rząd chce czegoś innego, ma aż nazbyt widoczny interes w tem, by rząd tak chciał jak ona to przedstawia, interpretacja intencji rządu jest wiernem odbiciem jej życzeń.

Takie ogniska czystej pracy, tej pracy, która — jak napisano w konstytucji — stanowi źródło bogactwa i potęgi Rzeczypospolitej, będą najlepszą naszą bronią przeciw agitacji i zamachom wywrotowym.

Praca inna—stanowiąca środek do ubocznych celów, stanowić będzie zawsze podstawę i szkołę agitacji wywrotowej, podważając zasady istniejącego ustroju społecznego.

* * *

W związku z artykułem w tej samej sprawie w poprzednim numerze „Prawdy", inż. Skrzywan prosi nas o wyjaśnienie, że twórcą planów głośnej budowy kanalizacji i wodociągów w Baku na Kaukazie był inż. Lindley, twórca planów kanalizacji i wodociągów dla Łodzi. Inż. Skrzywan był wykonawcą tych planów i kierownikiem budowy. Od siebie dodajemy jeszcze, że miarą technicznych trudności, jakie były do pokonania przy robotach w Baku jest choćby to, że wodę musiano sprowadzać do miasta rurociągami z odległości 180 km. w terenie najtrudniejszym dla takich poczynań (Kaukaz). Tembardziej wolno wierzyć, że człowiek, który ma poza sobą taką pracę, nie musi swoich opinji i decyzji w sprawach organizacji robót i kwalifikacji personelu poddawać pod aprobatę związków robotniczych lub referentów P. U. P. P.

Z. P.

O POLSKĄ RACJĘ STANU

Przeciw projektom osadzenia Habsburga na tronie Polskim.

(List do redakcji)

Odpowiadając artykułem p. t. „W imię racji stanu i prawdy dziejowej" na mój list do redakcji „Prawdy", zawierający protest przeciwko projektom osadzenia Habsburgów na ewentualnym polskim tronie, oraz przeciw solidaryzowaniu się z tendencją rewizji dzisiejszych granic państwa węgierskiego, p. Wł. Studnicki wysuwa cały szereg argumentów, mających uzasadnić tezę, iż 1) jest rzeczą słuszną zwrócenie Węgrom ich dawnych dzielnic, a w szczególności, że uzasadniony jest rozbiór dzisiejszej republiki Czesko-Słowackiej, oraz iż 2) urzeczywistnienie podobnych tendencyj byłoby pożądane z punktu widzenia polskiej racji stanu.

Wobec tego, że protest mój wypowiedziany był jedynie w krótkim liście, w którym niepodobna było zmieścić uzasadnień poszczególnych wyrażonych w nim poglądów, — p. Studnicki zaś odpowiada mi obszernym artykułem, — czuję się uprawnionym do zabrania głosu po raz drugi, aby dokładniej protest mój umotywować.

W obszernym wywodzie stara się p. St. uzasadnić pogląd, iż zredukowanie terytorjum Węgierskiego do granic dzisiejszych jest niesprawiedliwe, a z polskiego punktu widzenia niepożądane.

Przedwojenne Węgry były klasycznym przykładem państwa, opartego na zasadzie historycznej, — a nie na zasadzie etnograficznej. Ani jedna piędź ziemi, zamieszkanej przez Madziarów (jeżeli oczywiście nie będziemy liczyć młodziutkich kolonij węgierskich na Bukowinie, w Ameryce i t. p.) nie znajdowała się poza granicami królestwa węgierskiego — naodwrót zaś w jego obrębie leżały całe dzielnice, w których żywioł węgierski był żywiołem, żyjącym tylko w rozproszeniu. Nie twierdzę bynajmniej — wraz z doktrynerami idei państw narodowych — by utrzymanie się podobnego państwa przy życiu było zasadniczo niemożliwe. Można wskazać na przykład niejednego państwa bardzo żywotnego i bardzo zwartego wewnętrznie, zamieszkanego przez ludność, używającą kilku równouprawnionych języków (Szwajcarja, Norwegja, Irlandja, Finlandja), lub też kilku języków, z których jeden odgrywa rolę uprzywilejowanego (Francja, — z jej Celtami bretońskimi, Baskami, Włochami w Sabaudji i na Korsyce, Niemcami w Alzacji i t. d.) Uważam jednak, że są to państwa raczej wyjątkowe i że wewnętrzna ewolucja stosunków idzie w nich zawsze bądź w kierunku wytworzenia się seperatyzmów, opartych na podłożu językowem (Litwa, zagadnienie flamandzkie w Belgji, zagadnienie katalońskie w Hiszpanji), bądź też w kierunku stopniowej likwidacji języków lokalnych na rzecz języka ogólnego (Francja).

Gdyby Węgrzy w swojem dawnem państwie mieli dostatecznie wyraźną przewagę liczebną i kulturalną nad swojemi ówczesnemi mniejszościami, oraz gdyby umieli wyrobić w sobie dar asymilowania obcych żywołów i zdobyć się wobec tych żywiołów na umiejętną politykę, — być może rozwój tego kraju poszedłby w tym samym kierunku, co rozwój Francji, a myśl oderwania się od Węgier byłaby równie obca Słowakom czy siedmiogrodzkim rumunom, jak obca jest Celtom w Bretanji myśl oderwania się od republiki francuskiej.

Rozwój Węgier poszedł inną drogą. Naród madziarski porwał się na zbyt wielkie zadanie chcąc utrzymać w swem narodowem i państwowem posiadaniu terytorjum zbyt wielkie w stosunku do swoich istotnych sił. Obszarom obcoplemiennym nie zdołał nadać węgierskiego oblicza i nie zdołał przeszkodzić wytworzeniu się na tych obszarach samorodnego i niezależnego od ośrodków węgierskich życia kulturalnego i społecznego, — to jest przekształceniu się zamieszkujących te obszary plemion na zamoistne społeczeństwa. Z chwilą, gdy skrystalizowanie się mniejszości narodowych węgierskich jako samoistne narody względnie jako odgałęzienia narodów ościennnych stało się faktem — rola Madziarów na ziemiach, zamieszkanych przez te narody została skończona. To, że naród węgierski nie chciał się z tym faktem pogodzić, że chcąc swój stan posiadania utrzymać, zaczął wobec swych mniejszości stosować nie przebierającą w środkach politykę eksterminacyjną, — to przyniosło jako jedyny rezultat takie zaognienie stosunków, że utrzymanie już nietylko narodowej, lecz i państwowej jedności Węgier stało się niemożliwe. Zasada historyczna zbankrutowała na ziemiach węgierskich doszczętnie, — zastosowanie do nich zasady etnograficznej stało się koniecznością dziejową. To też — powtarzam jeszcze raz to co powiedziałem w mym liście — oderwanie się kilku dzielnic od Węgier nie było rabunkiem, lecz najwłaściwszem rozwiązaniem sytuacji, która się stała nieznośna i zaspokojeniem aspiracji niepodległościowych paru narodów, które do niepodległości dorosły.

O tem, że Słowaczyzna jest krajem nie węgierskim a słowackim, o tem wie każdy, kto ją choćby przelotnie odwiedził. Ponowne oddanie Słowaków pod jarzmo węgierskie byłoby dzisiaj zbrodnią, którą tylko z rozbiorami Polski możnaby porównać. Co do Rusi Podkarpackiej zaś, — wpływy madziarskie są tam wprawdzie dosyć znaczne, — ludność jednak — z pochodzenia słowiańska — przyzwyczaja się dosyć szybko do nowych stosunków politycznych, dochodzi do uświadomienia sobie swej odrębności narodowej i z pod przewagi kulturalnej węgierskiej stopniowo się emancypuje. Nie widzę powodów, by do kraju tego, który nie jest ani węgierski, ani słowacki, lecz ruski, miały mieć d z i s i a j więcej praw Węgry, niż C. S. R., bądź co bądź więcej od Węgier dbająca o zabezpieczenie praw narodowych miejscowej ludności.

Czechosłowacja, jako państwo nie oparte wyłącznie ani na zasadzie etnograficznej, ani na zasadzie historycznej, ma być zdaniem p. St., państwem nieżywotnem. Mojem zdaniem, jest żywotniejsza od dawniejszych Węgier. Jest ona państwem opartem na zasadzie mieszanej: na zasadzie samostanowienia ludów, a więc na zasadzie etnograficznej dlatego, że jest zrzeszeniem trzech ludów słowiańskich, zbyt słabych liczebnie, by mogły utworzyć państwa samodzielnie (Czesi, Słowacy, którzy zgłosili swój akces do CSR. w umowie Pitsburskiej i Rusini, których przedstawiciele wypowiedzieli się w tej mierze w Scranton), — a na zasadzie historycznej dlatego, że uzupełniono jej terytorjum przez niektóre obszary (Egerland) nierozerwalnie z Czechami geograficznie i historycznie związane. Z istotnemi mniejszościami narodowemi, a zwłaszcza z Niemcami będzie mieć ona niemałe trudności, — lecz spełnienie wszystkich aspiracyj tych mniejszości, a więc przedewszystkiem oderwanie Egerlandu, poderwałoby samą Czesko-Słowacką niepodległość. Stoimy znowu wobec problematu, nie dającego się w myśl absolutnych zasad słuszności rozwiązać — i musimy uznać za nieuniknione poświęcenie interesów mniej ważnych sprawie ważniejszej. Co do separatyzmu słowackiego, na którym Węgrzy tak wiele nadziei budują, to nie odegra on w istocie żadnej roli w polityce międzynarodowej; księdzu Hlince, — ongiś bojownikowi sprawy oderwania się od Węgier, — nie chodzi o ponowne przyłączenie się do tego państwa, lecz tylko o załatwienie szeregu postulatów słowackich w płaszczyźnie czesko-słowackiej polityki wewnętrznej i o przeprowadzenie pewnych niewykonanych dotąd postanowień umowy Pitsburskiej.

Tyle o stronie objektywnej zagadnienia. Jeśli zaś chodzi o ustosunkowanie się do niego pod kątem naszych interesów, nie widzę powodu, dlaczegobyśmy mieli — miast pogodzić się z Czechosłowacją i zabezpieczyć sobie kilkaset kilometrów lądowej granicy — przez solidaryzowanie się z tendencjami rewizjonistycznemi węgierskiemi robić sobie z Czechosłowacji wroga. Nie widzę tych korzyści, jakieby nam dało uzyskanie wspólnej granicy z Węgrami i nie sądzę, by sześciomiljonowe, zagrożone przez Niemców, mających swe placówki po tej stronie gór Rudnych, Czechy, będące nawet naszym wasalem, były dla nas pożądańszym sąsiadem, niż silna, kilkunastomiljonowa Czechosłowacja, wspólnie z nami zainteresowana w utrzymaniu obecnego stanu rzeczy i mogąca być naszym cennym sprzymierzeńcem na wypadek starcia z Niemcami! Nie widzę wreszcie możliwości dokonania rewizji granic węgierskich i rozbioru Czechosłowacji inaczej, jak drogą wywołania wielkiego dziejowego wstrząsu, od którego i nasza budowla państwowa mogłaby również ucierpieć. To też z punktu widzenia naszej racji stanu projekty p. St. uważam za zgubne.

A teraz poruszone przez p. St. wewnętrzne sprawy polskie. Jeżeli fakty historyczne, które p. St. przypomina mają stwierdzić, iż prądy ugodowe można było spotkać również i w zaborze rosyjskim, — to nietylko się z tem zdaniem zgodzę, ale listę dowodów na to pozwolę sobie uzupełnić faktem dość jednomyślnego opowiedzenia się zaboru rosyjskiego (a wraz z nim i jego przedstawicielstwa parlamentarnego) po stronie rosyjskiej w czasie wielkiej wojny. W zaborze rosyjskim, jako największym i najbardziej zwartym, nietylko ewentualne powodzenie walki zbrojnej mogło się najwięcej przyczynić do rozwiązania całokształtu sprawy polskiej, lecz również i najwięcej mogła dać polityka ugodowa, — polityka wywalczania sobie koncesyj od państwa zaborczego, w którem się stanowiło ogromne, nie dające się zasymilować i rozbijające jedność państwową ciało obce i w którem stopniowe wyemancypowanie się polityczne dzielnic polskich było nieuchronną konsekwencją przekształcania się państwa zaborczego z organizacji dynastycznej na państwo narodowe. To też i polityka ugodowa, skoro przejawiała się gdzie indziej, przejawiała się i w zaborze rosyjskim. Ale nie o to mi chodzi.

W zaborze rosyjskim polityka ugodowa, skoro się na nią już zdecydowano, była traktowana jako pewnego rodzaju malum necessarium, — jako konieczność logicznie nieuchronna, w wypadkach, gdy zaczynano wątpić w powodzenie walki zbrojnej. Zabór rosyjski — nie licząc nielicznych zupełnie jednostek — pomimo, że wchodził czasem z Rosją w kompromisy, był wobec Rosji usposobiony instynktownie wrogo, — zarówno za czasów Adama Czartoryskiego (vide choćby tylko „Pan Tadeusz"), jak za czasów wielkiej wojny. Skoro odzyskaliśmy niepodległość, ugoda z zaborcą rosyjskim stała się dlań rzeczą poprostu już nie aktualną. I gdyby ktoś wysunął projekt uczynienia polskim królem członka dynastji Romanowów (również jak i Habsburgowie mogącej mieć urok pośród okolicznych ludów, również mającej pewne szanse przelotnego powrotu na swój tron, a więc, w myśl tego samego rozumowania — mogącej nam przez przymierze polsko-rosyjskie zabezpieczyć 1400 klm. granicy i dać nieobliczalne korzyści ekonomiczne i również mogącej się wyuczyć polskiego języka, a nawet — kto wie? — przejść na katolicyzm) — gdyby ktoś taki projekt wysunął, spotkałby się już nie z oburzeniem, a z drwinami.

I jeśli mam coś za złe Małopolsce (której patrjotyzmu zresztą nie zamierzam negować, ani wartości, wniesionych przez nią do budowli Odrodzonej Ojczyzny niedoceniać), to to, że podobne projekty na jej terenie mogą mimo wszystko się rodzić.

Można pewne względy uczuciowe podporządkować racji stanu, — nie można jednak w imię tej racji (gdyby ona nawet zachodziła) deptać własnej godności narodowej, — bo naród, który nie dba o swą godność, — może przestać dbać wogóle o wszystko, co nie jest materjalną korzyścią. To też dom Habsburgów, który włożył nóż do ręki Szeli, jest dla nas i musi pozostać jedynie nienawistnym symbolem niewoli.

Jeżeli Węgrzy pragną na swój tron powołać potomka tłumicieli powstania 1848 r., — to jest to ich rzecz, — tak jak ich jest rzeczą wybór metod działalności ks. Windischgraetz. My w ich ślady jednak nie pójdziemy.

Jędrzej Giertych.

Rynek pieniężny i giełda

Przesilenie gabinetowe i widmo nowych prób i eksperymentów na zdrowym organizmie społeczeństwa spotęgowało w najwyższym stopniu chaos walutowy. Dolary notowane jeszcze w ubiegły czwartek prywatnie 9,20 — skoczyły w sobotę na 9,50, w poniedziałek notowano już 9,75—10,15—9,90, we wtorek 10,35—10,60—10,35, w środę 10,55—10,85,—11—10,50—10,40, w czwartek 10,40, —10,20—10,10. Koncert przesileniowy „czarnej giełdy" zaczął się więc na dobre, przybrał jednak tym razem groźniejsze formy ze względu na ogólną depresję i defetyzm, panujące wśród doświadczanego tylekroć społeczeństwa.

Oliwę do ognia dolało ujawnienie bilansu Banku Polskiego za pierwszą dekadę kwietnia. Według tego bowiem zestawienia, wzrósł zapas złota zaledwie o 30 tys. zł. i wynosi obecnie 134,122,321 zł., z czego większość, a mianowicie złoto wartości 77,487,909 złotych, znajduje się zagranicą. Zapas walut i dewiz zmniejszył się o 6,739,670 złotych do kwoty **42,618,926 zł.** Równocześnie zmalały jednak także zobowiązania Banku Polskiego w walucie zagranicznej o kwotę 2,256,684 zł. do sumy **42,492,187 zł.** Jak z powyższego wynika — wynosi saldo czynne zaledwie 126,739 złotych, czyli, że w chwili obecnej instytucja emisyjna zapasu walut faktycznie nie posiada.

Wskutek ograniczeń kredytowych, wywołanych spadkiem złotego, zmniejszył się portfel wekslowy o przeszło 2 i pół miljona zł., natomiast pożyczki, zabezpieczone papierami wzrosły o 3,016,424 zł. Obieg banknotów zmniejszył się o przeszło 16 milj. złotych, wobec czego stosunek pokrycia kruszcowego podniósł się automatycznie do 35,9 proc.

Równolegle ze złym stanem bilansu Banku Polskiego pogorszył się nasz bilans handlowy, co przypisać należy poważnemu spadkowi naszego eksportu, zwłaszcza rolniczego, t. j. zboża, nabiału i nierogacizny. Należy przytem zauważyć, że import jest już tak mały, że dalsze jego ograniczenie nie jest możliwe, a potrzeby gospodarcze kraju wymagają raczej jego rozszerzenia.

Wskutek skurczenia się eksportu, zmniejszył się również dopływ walut zagranicznych do Banku Polskiego. Instytucja emisyjna bowiem ma wyłączność nabywania walut z eksportu rolniczego, natomiast waluty z innych źródeł pochodzące, mogą być sprzedawane w bankach dewizowych.

Niektóre z tych banków wykorzystały wspomniane dewizy dla celów spekulacyjnych i uważając, że umowa bankowa, ważną była tylko do 15 kwietnia, zaczęły dokonywać poważne obroty poza giełdą — po kursach o prawie 1 zł. wyższych od notowań oficjalnych. Pozatem wykryto takie nadużycia, dokonywane przez samych eksporterów.

Okazało się bowiem, że na 130 miljonów złotych eksportowanych w ciągu miesiąca towarów, wraca do kraju walut zagranicznych zaledwie na sumę 50 miljonów złotych miesięcznie — reszta zaś pozostaje na kontach zagranicznych eksporterów. Dochodzenie, przeprowadzone w tej sprawie przez Komisję Banku Polskiego ujawniło podobno, że niektórzy eksporterzy podawali Ministerstwu Skarbu niższe kwoty, aniżeli osiągnęli z eksportu. Chodzi tu głównie o eksporterów drzewnych.

Wobec tych faktów zrozumiałem jest poniekąd żądanie pewnego odłamu społeczeństwa, domagającego się założenia centrali dewiz, w którejby scentralizował się cały ruch dewizowy i któraby mogła kontrolować bezwzględnie zarówno działalność banków prywatnych, jakoteż ruch handlowy z zagranicą.

Złoty uległ na rynkach obcych poważnej zniżce, która objęła tym razem nietylko giełdy niemieckie, ale także wszystkie inne giełdy europejskie i amerykańskie.

Wskutek spadku złotego zagranicą i gwałtownej zwyżki dolara na „czarnej giełdzie" zmuszony był Bank Polski — nieposiadający odpowiednich funduszów na zaspokojenie potrzeb walutowych rynku wewnętrznego — podnieść kurs dolara na giełdzie oficjalnej. Wślad za dolarem i dewizą na New York ności przed dewaluacją. Za ruble złote płacono w środę 5,70 — co odpowiada stosunkowi 10,75 za 1 dolar.

Fakt utrzymania się przy władzy obecnego rządu oraz brak gotówki wśród zawodowych spekulantów — spowodowały w środku tygodnia silną realizację i obniżenie się kursu dolara na „czarnej giełdzie" o kilkadziesiąt punktów. Pomimo wszystko jednak zajęły sfery spekulantów walutowych narazie stanowisko wyczekujące, nie angażując się w grze terminowej na zniżkę dolara. Zrozumiałe jest to o tyle, ponieważ niewiadomo, towaną w środę już 9,90 — podniosły się wszystkie waluty europejskie. Ruble złote poszukiwano w większych ilościach wskutek poleceń giełdowych ze strony prywatnej klienteli, chcącej zabezpieczyć swe oszczędnoczy obecny rząd zdoła przez dłuższy czas się utrzymać i jakie niespodzianki jeszcze nas czekają.

Na rynku akcyjnym panowała początkowo tendencja słaba, przy małych obrotach. W środku tygodnia jednak, kursy główniejszych papierów dość znacznie się podniosły. Część spekulantów realizowała przy wysokim kursie dolary i zakupywała za nie akcje, uważając, że muszą one odzyskać swą wartość faktyczną a raczej podnieść się w stosunku do złotego wraz z dolarem.

Poważniejszy przyrost kursów uzyskały akcje metalurgiczne, węglowe i włókiennicze. Akcje bankowe podniosły się w mniejszym stopniu. Akcje Banku Polskiego lekko się osłabiły.

Znaczną kilkunastoprocentową zwyżkę uzyskały 8 proc. Pożyczka Konwersyjna i 10 proc. Poż. Kolejowa, w mniejszym nieco stopniu podniosła się 6 proc. Pożyczka Dolarowa. 5 proc. Pożyczka Konwersyjna lekko się natomiast obniżyła.

Listami zastawnemi robiono umiarkowane obroty przy tendencji utrzymanej.

Awil.

:::: Księga zażaleń ::::

Różne są ryby.

Dnia 9 września 1925 r. za Nr. 114, wydanym został przez Województwo Łódzkie okólnik w sprawie rozciągnięcia nadzoru nad przestrzeganiem ochrony ryb w określonych terminach, oraz handlem w okresach zakazanych. Takie zarządzenie jest b. chwalebne i dowodzi troski o tą naszą gałęź gospodarstwa krajowego. Ale... (wszędzie w naszych zarządzeniach musi być jakieś „ale") w tym całym zarządzeniu tkwi błąd, albo niedopatrzenie redaktorów okólnika, a mianowicie: Okólnik opiewa, że poczynając od 15 kwietnia do 30 czerwca zabronione są tak łowienie, jako też i sprzedaż wszelkiego gatunku ryb, a więc i ryb drapieżnych, gdyż o żadnych wyjątkach okólnik nie mówi. Zatem w zarządzeniu tem tkwi wyraźna sprzeczność. Z jednej strony ustala się sankcję karną, aby zapobiec niepotrzebnemu tępieniu ryb w okresie tarła i wzmóc przyrost i w ten sposób ułatwić hodowlę ryb, a z drugiej strony tenże przyrost i hodowlę zatamować przez przeoczenie wzmianki o szkodnikach naszych wód jakim jest bezsprzecznie: szczupak i okoń - jako ryby drapieżne. Faktem bowiem jest, że o zakładaniu racjonalnych hodowli ryb nie można nawet pomyśleć bez uprzedniego wytępienia szczupaków i okoni. Inaczej cały zarybek będzie przez nich wytępiony. Przyzastosowaniu przepisów okólnika może się zdarzyć następujący fakt: ktoś urządza sobie stawy i zamierza hodować karpie, liny, karasie, płocie i t. p. przystępuje więc do wytępienia szkodników. Zjawia się policja i spisuje protokuł za łapanie ryb w niedozwolonym terminie. Właściciel stawów tłómaczy, że nie może zacząć racjonalnej hodowli bez wytępienia szkodników. Odpowiadają mu na to, że w zarządzeniu niema żadnych wyjątków, a więc i szkodniki podlegają ochronie. Rezultat będzie taki że nie chcąc się narażać na straty, hodowcy będą zmuszeni wstrzymać się z zakładaniem racjonalnej hodowli, aż do zmiany przepisów, bo te właśnie szkodniki na wiosnę po zimowym poście mają największy apetyt. Czyby Sz. Redakcja w swoim poczytnym piśmie w imię „prawdy" nie zechciała tego tematu poruszyć i przedstawić odnośnym władzom.

W. R.
Wieluń.

MONETY i CHOROBY ZARAŹLIWE.

Powszechnie utrzymuje się zdanie, że sztuki monet i bilety bankowe, brudne wskutek obiegu z rąk do rąk, są roznosicielami wszystkich chorób zaraźliwych i przeto grożą niebezpieczeństwem przy dotknięciu. Świeże badania we francuskiej Akademji Medycznej pp. Hanriot'a, Bernard'a i Renault'a uspokoiły pod tym względem higjenistów. Według tych uczonych metal monet działa w sposób antyseptyczny na mikroby, złożone na jego powierzchni, i zabija je bardzo szybko. Moneta więc zarażona rychle sterylizuje się sama i może obiegać bez szkody. Większą jeszcze niespodzianką jest to, że bilety bankowe, choćby najbrudniejsze, tak samo się uodporniają. Porowatość papieru, mnożąc zetknięcie się tlenu powietrza z mikrobami, zapewnia ich zniszczenie, tak że zarówno na monetach, jak i na banknotach wykryto tylko zwykłe mikroby nieszkodliwe.

Swoją drogą, choćby ze względów estetycznych i dla uniknięcia tej specyficznej wstrętnej woni, jaką wydzielają stare banknoty, należy je utrzymywać w porządku i nie nosić ich zawsze zwiniętych w tutkę i ciągle odruchowo miętoszonych, jak to czynią prawie wszystkie nasze służące, a niekiedy i panie.

Plotki warszawskie

Istnieje pewien odłam prasy, który posiada decydujący wprost wpływ na szerokie masy swoich czytelników, — i to wpływ tem większy, że czytelnicy jej, pochodząc przeważnie z warstw najniższych, przyjmują każde słowo bezkrytycznie i z głębokiem przekonaniem.

Ze wszech miar chwalebnem jest, jeśli pisma te wpływu swego używają na fundowanie karetek pogotowia, lub stypendjów dla ubogich studentów i t. p., znacznie mniej chwalebnem, jeśli artykułami swoimi podburzają i tak niespokojne umysły. Przypuszczam, że pisma te zdają sobie sprawę, jak każde ich słowo działa na szerokie masy. Czy wobec tego sycenie tych mas wiadomościami, mającemi na celu urobienie z góry opinji o kimś, lub o czemś, zgadza się z ich sumieniem?... Sierżant Trzmielewski, skrytobójczy morderca ś. p. Huberta Lindego, osądził swoją ofiarę, zanim jeszcze trybunał osądzić ją zdołał. Pohop do czynu znalazł w komentujących sprawę artykułach pilnie przezeń czytanych pism brukowych.

* * *

Ostatnio jednak żądza sensacji jak gdyby osłabła, może już jej za wiele i nie robi wrażenia — w każdym razie zupełnie głucho i bez wrażenia przeszły wieści o rewizji w fabryce „Pocisk“ i odkryciu tam różnych skandalicznych szczegółów, jak i o dochodzeniu przeciw wyższym funkcjonarjuszom straży pożarnej w sprawie pewnych nieprawidłowości w związku z wyciorem kominów.

Brak zainteresowania był tem dziwniejszy, że obie te instytucje w kronice skandalicznej do tego czasu jeszcze się nie zapisały, występ ich był więc poniekąd premjerą.

* * *

Jak widać, premjery też już nie pociągają, ani w życiu, ani na scenie, zresztą na scenie już od dawna. Z pomiędzy wszystkich teatrów na terenie Rzeczypospolitej, jakie w pełni nadziei rozpoczęły sezon, istnieje już bodaj że jedna trzecia zaledwie, a i ta reszta zmuszona w przeciwieństwie do obniżającej się wartości pieniądza, zniżać coraz bardziej ceny biletów, zwolna zanika. Miasta teatrów prowadzić nie chcą, gdyż nie przepadają za kiepskiemi interesami, a ideowość odstawiły do lamusa, jako niemodną, prywatni przedsiębiorcy zaś prowadzić ich nie mogą, gdyż nie mają za co. Posiadamy więc jeszcze opery w Warszawie i Poznaniu, bo o Lwowie niema co mówić, całe trzy operetki w Warszawie i Lwowie i nieco więcej teatrów dramatycznych. — To wszystko. Imponująco w porównaniu z tem brzmi rozporządzenie policji, zgodnie z którem powiększono ilość posterunków przed teatrami dla tem sprawniejszego regulowania ruchu pojazdów. Obawiam się szczerze, że wyznaczeni posterunkowi zanudzą się haniebnie, chyba że będą trzymali służbę przed teatrem Wielkim w wieczory przedstawień, t. zw. dyplomatycznych. Pozatem nieliczni już tylko ludzie zajeżdżają przed teatr dorożką, częściej znacznie jadą tramwajem, lub, co nawet zdrowsze, idą pieszo.

I pomyśleć, że jednocześnie na wystawie teatralnej otwartej z końcem lutego b. r. w Steinway-Hall w New-Yorku eksponaty nasze cieszą się wielkiem uznaniem i zajmują wśród eksponatów innych państw poczesne wielce miejsce. Tak to próbki naszego talentu i artyzmu znajdują więcej upodobania u obcych, niż u swoich.

Oby tylko ten pawilon reprezentujący teatr polski nie przetrwał dłużej, niż teatr sam i nie reprezentował wkońcu instytucji, której panowanie nie z tej już ziemi jest.

* * *

Jeśli to kogo pocieszyć może, to i kinoteatrom niezbyt świetnie się wiedzie, w tym wypadku jednak nie tyle może z braku frekwencji, bo do kina ludziska, mimo wszystko, chętniej się jakoś tłoczą, ile z powodu jednego, zgoła zbytecznego, nadmiernie zato chciwego wspólnika. Wspólnikiem tym to magistrat. Czegóż już te kina nie robią, byle się go pozbyć, lub, co najmniej w apetycie ograniczyć, — bezskutecznie. Ostatnio nawet jednodniowy strejk urządziły, że miasto wyglądało jak Warszawa w Wielką Sobotę, lub Łódź niedawno jeszcze codzień, — lecz i to nie pomogło. — Mniej zasobne kina chwieją się już, niczem przeciętny Warszawianin w dzień prohibicyjny, i nie pozostanie wkońcu nic innego, jak rzeczywiście wszystkie kinoteatry pozamykać. A co wtedy powie Ameryka, pozbawiona swych monopolowych dochodów z Polski? Czy się na nas nie zadąsa? A na dąsy obcych jesteśmy znacznie wrażliwsi, niż na narzekania i jęki własnych obywateli.

* * *

Idą więc wszystkie kina zwartą ławą przeciw wspólnemu wrogowi, nie zapominają jednak i o walce między sobą. I tak trzy kina równocześnie wyświetlają film z Haroldem Lloydem "Why worry" pod różnymi polskimi tytułami. Naturalnie dwa z nich („Pan“ i „Korso“) pozostające pod wspólną dyrekcją zapewniają w obszernych reklamach, że ich film jedynie jest prawdziwy, konkurenta zaś falsyfikatem, odwrotnie twierdzi oczywiście kino „Splendid“. — Faktem jest, że kino „Splendid“ posiada odbitkę właściwą, dwa inne teatry zaś kontratyp. W zasadzie nie jest to nic zdrożnego, skoro nie łączy nas z Ameryką konwencja o obronie praw autorskich, z przykrością tylko zauważyć się musi, że odbitki właściwej dostarczyła ekspozytura wytwórni amerykańskiej, kontratypu zaś jedno z krajowych biur filmowych.

Wi—cki.

Listy do „Prawdy“

Pieniądz a bogactwo

P. Wścieklicy w odpowiedzi.

W Nr. 13 „Prawdy“ ukazał się artykuł polemiczny p. Wł. Wścieklicy, skierowany przeciw niżej podpisanemu. Artykuł ten zdradza silne podniecenie, i tem tylko można wytłumaczyć, że autor gromi mię nietylko za te poglądy, których nie podziela, ale nawet za te, na które, zdaniem jego, zgodzi się każdy rozumny i wykształcony człowiek. Dopiero zakończenie nasuwa domysł, że te gromy na mą głowę ściągnęło wyrażenie „samorodni ekonomiści“, którego użyłem w jednym ze swych artykułów, a które p. W. wziął do siebie. Żałuję bardzo, że się tak stało, ale nie poczuwam się do winy. Wyrażenie owo oznacza oczywiście człowieka, który rezonuje o zawiłych sprawach ekonomicznych, nie posiadając odpowiedniego przygotowania naukowego, użyłem je w znaczeniu generycznem, nie kierując go przeciwko nikomu w szczególności.

Gniew jest złym doradcą, i p. W. popisał rzeczy, których grzecznie mówiąc, pisać nie wypada, a zwłaszcza nie należy przeinaczać myśli cudzych, bo to jest nieładnie. Z różnych względów nie chcę zatrzymywać się dłużej nad tą drażliwą sprawą. Aby nie nużyć czytelnika dotknę tylko jednego punktu, punktu centralnego w całym sporze.

Przytoczę naprzód własne słowa p. W., opuszczając rzeczy nieistotne:

„Drugi błąd p. Straszewicza polega na tem, że przeczy on temu, że kraj jest bogaty, gdy posiada dużo pieniędzy, a biedny, gdy mu brak grosiwa. To jest prawda, której nie może obalić opowiadanie Ad. Smitha o tem, że Hiszpanie po odkryciu Ameryki poszukiwali głównie takich krain, gdzie były kopalnie złota, a koczujący Tatarzy takich, gdzie było dużo owiec i wołów, i ci ostatni byli bliżsi prawdy w swoim poglądzie na bogactwo, niż Hiszpanie. Przecież Hiszpanie rzeczywiście zbogacili się wówczas i stali się państwem potężnem, a tatarzy wkrótce upadli i dostali się w niewolę... W każdym razie (Hiszpanie) dzięki owemu złotu zdobyli dużo nowych ziem, gdzie potomkowie ich osadników dotąd żyją i panują...“

Powyższe konsyderacje historyczne, gdyby nawet były słuszne, nie dowodziłyby wcale tego, czego p. W. dowieść pragnie, t. j., że ilość posiadanych pieniędzy jest nieomylnym wskaźnikiem zamożności kraju, ale owe historje hiszpańsko-tatarskie wylęgły się całkowicie w wyobraźni autora i nie mają absolutnie żadnego związku z historją prawdziwą. Ostatecznie więc na poparcie tezy powyższej pozostaje jedynie autorytet naukowy p. Wł. Wścieklicy, który zwłaszcza wobec odmiennych zapatrywań Adama Smitha wydaje mi się niezupełnie wystarczającym.

Ale A. Smith pomimo wielkiego genjuszu był omylny, a pisał przeszło 150 lat temu i mógł się łatwo omylić, zobaczmy więc, co sądzą o tej sprawie ekonomiści późniejsi. Przytoczę dwa głosy nowoczesne, zaczerpnięte z książek, które miałem pod ręką. Pierwszy należy do Vilfredo Pareto, jednego z najwybitniejszych ekonomistów naszej epoki: „M. Novicow a donné le nom d' illusion chrisoédonique à l'erreur consistant à considérer l'or comme la source de nos jouissances ou, en d'autres termes, à le confondre avec la richesse. Cette erreur est des plus anciennes, c'est simplement une métonymie prise à la lettre: on s'exprime en mettant le signe pour la chose signifiée, et l'on finit par prendre ce signe pour cette chose“. *)

Drugi głos należy do Enrico Barone, ekonomisty mniej głośnego niż Pareto, lecz który bądź co bądź stał w pierwszych szeregach nauki włoskiej, a nawet europejskiej. Ponieważ język włoski jest mniej rozpowszechniony w naszym kraju, przeto głos ten podam w wiernym przekładzie. „Splot zjawisk ekonomicznych, pochodzących z wprowadzenia pieniędzy do procesu wymiany, jest źródłem wielu sofizmatów i błędnych poglądów, które najczęściej są następstwem utożsamiania bogactwa z pieniędzmi, lub kapitału z pieniędzmi, lub oszczędności z pieniędzmi, gdy tymczasem pieniądze stanowią jedynie drobną cząstkę bogactwa kraju. Naprzykład bogactwo Anglji oceniają na 250 miljardów, gdy tymczasem pieniądze metalowe angielskie wynoszą mniej od trzech miljardów“. (Principi di Economia Politica, par. 98) Nie wolno więc uważać pieniędzy za wskaźnik zamożności kraju, gdyż stanowią one tylko drobną cząstkę bogactwa narodowego. Byłoby taką samą niedorzecznością uważać ten kraj za bogaty, który posiada dużo pieprzu, lub dużo porcelany. Pod tym względem zapatrywania ekonomistów od czasów Adama Smitha nie uległy żadnej zmianie.

Zygmunt Straszewicz.

---

*) Błąd polegający na uważaniu złota za źródło naszych rozkoszy, innemi słowy, na utożsamianiu złota z bogactwem, nazwał p. Nowikow „iluzją chryzohedoniczną“. Błąd ten jest jednym z najstarszych, jest to poprostu metonymja wzięta dosłownie: wyrażamy pojęcie zapomocą jego cechy i wkońcu bierzemy cechę za pojęcie samo.

Fantasmagorja wszechświata

Według Einsteina i relatywistów przestrzeń jest krzywa, to znaczy, że przedmiot w ruchu, na który nie działa żadna siła zewnętrzna, wykreślać będzie nie linję prostą, jak utrzymują uczniowie Newtona, lecz krzywą. Według tej teorji, i światło rozprzestrzenia się nie według linij prostych. I dalej jeszcze: wszechświat nie jest nieskończony, lecz gwiazdy, droga mleczna i mgławice są zawarte w niezmierzonej sferze eteru, po zaktórą niemasz nic dostępnego dla naszych zmysłów. Promień świetlny może wędrować wieczyście w tej sferze, robiąc nieskończony obrót. Według obliczeń bania ta eteru miałaby promień taki, że światło musiałoby użyć 150 miljonów lat na jego przebycie, przebiegając, jak wiadomo, 300,000 kilometrów na sekundę. By obiec naokoło sfery, promień świetlny musiałby wędrować 900 miljonów lat. Najciekawsze jednak w tym wszechświecie einsteinowskim jest to, że promienie świetlne, wychodząc z gwiazdy na biegunie, np., sfery, winny, po przebieżeniu w 450 miljonów lat, połowy obwodu, skoncentrować się wszystkie u drugiego bieguna. Ponieważ będą one dalej wędrowały, będzie się zdawało, że pochodzą one z tego drugiego bieguna, gdy oczy nasze będą widziały tylko odbicie gwiazdy. Wszystkie tedy punkty świetlne na niebie mogą być w ten sposób nie gwiazdami, lecz tylko ułudą ich odbicia.

Książki i wydawnictwa

Ukazały się:

Janusz Stępowski — „Sad w środku miasta“ — powieść. Nakład księgarni Władysława Uzarskiego w Rzeszowie.

Inż. K. Bukowski i inż. A. Jackiewicz — „Sól i saliny polskie“. Nakład Ministerstwa Przemysłu i Handlu — dyrekcja salin państwowych. Warszawa 1926.

Przegląd intendancki, tom I. Kwartalnik, wychodzący nakładem Koła Absolwentów Wyższej Szkoły Intendentury.

O tajemnicy języka

i innych tajemnicach.

Przed wyjazdem zagranicę mam zwyczaj upijania się językiem polskim, którego przez dłuższy czas nie będę tam słyszał. Mam również zwyczaj czytać zagranicą wyłącznie w języku tego kraju, w którym jestem gościem. Znam ludzi i literatów, którzy robią na odwrót, zwłaszcza kiedy przez dłuższy czas bawią na obczyźnie; dopiero tam odkrywają w sobie gorącą miłość do ojczystej mowy i żyją życiem książek w tej mowie napisanych. Ale trudno: każdy odpowiada tylko za siebie, więc i ja mogę tylko wziąć na siebie odpowiedzialność za własne nawyki.

Na obcej ziemi, w obcej atmosferze duchowej lubię przez pewien czas wmyślać się w tę atmosferę, usiłuję zrozumieć osobliwość języka, używanego przez moje otoczenie. Dlatego niechętnie czytuję dzienniki z mego kraju, a w lekturze polskich książek ograniczam się tylko do koniecznych, w moim zawodzie, materjałów.

Za tydzień, z Bożą pomocą, znajdę się po tamtej stronie Alp, przekroczę krwawą rzekę Piave, uczczę wraz z Włochami pamięć poległych pod Vittorio Veneto wojowników, przez powstanie z miejsca w wagonie, pożegnawszy się z resztką mowy niemieckiej w Villach, a kiedy wraz z pociągiem spadnę w dolinę wenecką, będę już w niespornej strefie łaciny.

Evviva Italia! Znam Twoje uroki, mowo włoska! W Twojej soczystości i płynności jest sok i zapach małmazji. Cierpka, mocna tężyzna sączy się z słów tej spieszczonej łaciny, jak owe czerwone, ciemne, cierpkie „Chianti Poggibonsi“ (nie zwyczajne Chianti, o nie!) z butelek oplecionych koszyczkiem. Rozumiem wasze tempo, wy słowa pełne smaku najlepszego, które czekacie już na mnie po tamtej stronie śniegów, niebosiężnych gór i... ponurości północnej, którą jestem przesiąknięty. Wiem, wiatry idące od Morza Śródziemnego w krótkim czasie zwieją z moich warg słowa twarde i brzmiące groźnie dla ucha łacińskiego, choćby temu słowu było: Miłość na imię! Miłość! Znana jest anegdota o Włochu, który był przekonany, że miłość, nazywa się po polsku: **Cielęcina.** „Czelęczina“, powiada i nie przeczuwa, co to znaczy. Wiem, że rozprostują się moje, dość przygarbione plecy pod ożywczem spojrzeniem świętofranciszkowego Brata Słońca, a kiedy mi zapachnie migdał (una mandorla signori, si, si!) zapomnę nawet o własnych łódzkich rynsztokach, których wprawdzie nie wącham, bo w Łodzi nie mieszkam, ale mimo to zachowałem o nich aż nazbyt żywe wspomnienie, z czasów mojej karjery dramaturga przy teatrze miejskim.

Widzę, że ponosi mnie temperament i zachowuję się tak, jakbym już wracał z gajów oliwnych lub poprostu z osterji. Tak źle jeszcze nie jest i czytelnicy muszą mi wybaczyć to upojenie na kredyt, do którego mam pełne prawo, jako zagorzały wielbiciel kultury, co urodziła się po tamtej stronie Alp, przed wiekami i żyje jeszcze ciągle nie skażona, wiecznie młoda i chwała Bogu — zdrowa.

Ale chcę mówić o języku. Tajemnica języka ojczystego, jego piękność i osobliwość objawia się ze zdwojoną intensywnością opuszczającym kraj rodzinny. Wsłuchuję się w każde słowo, codziennie, wytarte od używania, jak w jakąś dziwną, zagadkową muzykę. Pod kątem żegnania, nawet te najprostsze wyrażenia zmieniają swój kształt, przebierają się jakby na niedzielę, brzmią dostojnie i uroczyście i nabierają szczególnej wagi. Odkrywam obecnie, jakby zatajone dotąd uchu mojemu uroki; fonetyka polska, składnia polska, wszystka macierzystość stylu polskiego staje się niesłychanie wyrazista. Patrzę na mowę, którą posługuję się w życiu i która jest nieśmiertelnym materjałem mojej śmiertelnej pracy, jak na jakiś fenomen i odczuwam metafizyczne dreszcze.

Z rozkoszą czytam polskie książki w tym okresie. Obok t. zw. „ulubionych“ utworów, czytywanych przez całe życie (każdy z nas ma takie książki, o ile wogóle czyta książki, do których ciągle w życiu powraca) czytałem „Przymierze serc“ Kadena - Bandrowskiego, jeden z najpiękniejszych, jakie wydała literatura polska w ostatniem dziesięcioleciu. Szczęśliwy pisarz ten Kaden! Jego „Miasto mojej matki“ odstawiło w cień jego własne „Przymierze serc“. Mało jest pisarzów, których książki wzajemnie ze sobą rywalizują. Gdyby nie „Miasto mojej matki“, mówionoby dzisiaj więcej o „Przymierzu serc“, niż się mówi. Mało jest książek wogóle, których pióro doskonałego artysty — nagromadziło tyle człowieczeństwa, tyle dobroci, tyle zaufania. Każdy, kto był żołnierzem, musi czytać tę książkę, jak czytał w polu listy z domu. Ten język Kadena w „Przymierzu“ głaszcze twardą, szorstką, żołnierską ręką nasze serca, ale głaszcze, bo jest dobry i głęboko uczciwy.

Nie zapomnę słów, któremi Kaden napisał swoją „Odwilż“, swój „Bal“, swoją „Musztrę“ i „Dzikiego człowieka“—nawet w Assyżu! Będę tęsknił do tego języka, w którym tyle ludzkiego serca się wypowiedziało.

Addio, maestro Giulio! Addio capetano!

Biorę sobie również na drogę słowa (broń Boże, książkę! Jak powiedziałem, książek polskich w podróż nie zabieram) Marji Dąbrowskiej z „Ludzi stamtąd“. To nie są złote, błyszczące słowa, droższy to metal, choć nie błyszczy się: to jest najprawdziwsza platyna! To są słowa wiejskie, pachnące ziemią, warzywem i znojem parobka. Nie zapomnę o nich w kraju pomarańcz i wina, nie zapomnę zapachu polskiego czworaku folwarcznego i jego duszy. Jak to dobrze, że teraz w Polsce kobiety piszą po męsku, bez egzaltacji, po ludzku, a nie po kobiecemu. Książkę pani Dąbrowskiej o „Ludziach stamtąd“ czytać będę z pewnością jeszcze raz, kiedy powrócę do domu.

A teraz niech mi wolno będzie zasygnalizować nowe nazwisko w literaturze.

Księgarnia W. Uzarskiego w Rzeszowie, w tem samem mieście, w którem niedawno kat wieszał w cylindrze i w masce na twarzy, jakiegoś człowieka, wydała powieść Janusza Stępowskiego p. t. „Sad w środku miasta“, Książka ta, pełna młodzieńczych zalet i wad, świadczy o rozkwitającej sile twórczej, której nie można lekceważyć. Powiadam o sile, bo z całego „Sadu“ wieją jakieś mocne podmuchy. Oby te jabłonie i grusze wydały jak najlepsze owoce!

Niech z tych słów młodych wytryśnie sok, z którego pociechę mógłby mieć Juljan Tuwim, największy alchemik soków słownych w nowem pokoleniu polskich pisarzy.

I tak, z temi książkami w wdzięcznej pamięci — pojadę z innemi książkami, w walizce, czytać żywoty mnisze i bulle i wertować akta zakonu franciszkańskiego.

W chwili, kiedy czytelnicy „Prawdy“ czytać będą te słowa, może ja będę już wśród ludzi, którzy tych słów ani za grosz nie zrozumieją, — i będą mi pewno zazdrościć. Ale proszę mi wierzyć, dla miłośników słowa, urodzonych po tamtej stronie Alp, język polski ma ten sam czar może, co dla nas ich boska mowa. Czekają na mnie w Padwie ludzie, którzy tłumaczą na język włoski Kasprowicza, dla których podróż do Polski jest tak samo marzeniem, jak dla nas podróż do Włoch. Arrivederla signori!

Józef Wittlin.

Ruch wyzwoleńczy Indyj

W przeszłym miesiącu zaszły w Indjach dwa wydarzenia, z których o jednem, mniej ważnem, a nawet dla Indyj zupełnie obojętnem, ajencje prasowe rozniosły po świecie strzeliste telegramy, podczas gdy o drugiem, mającem ogromną doniosłość dla Indyj, — o, dziwo! — zupełnie przemilczały. Dlaczego, — jest to tajemnica snać zakulisowa tego anonimowego mocarstwa, jakiem można już dziś zwać prasę europejską.

Pierwszem wydarzeniem, tem nikłem, było ogłoszenie światu nowego Mesjasza, wyhodowanego przez Towarzystwo Teozoficzne i jego prezeskę, już dziś starą, p. Annie Besant. Widziałem tego Mesjasza przed kilkunastu laty w Paryżu, gdy p. Besant, sama w białej hieratycznej szacie (która nie bardzo pasowała z powodu jej już znacznej wtedy otyłości), wyszła na estradę odczytową, ze swym sztabem generalnym teozofów wyfraczonych, a śród nich z młodym i pięknym chłopcem hinduskim (nazwano go Kriszna-Murti), który był również we fraku, i który był wówczas hodowany w szkołach na człowieka, zaś w Towarzystwie Teozoficznem i głównie przez p. Besantową — na Mesjasza. Pod jakiemi auspicjami odbywała się ta hodowla, to tylko p. Besantowej wiadomo.

Obecnie piękny Hindus ma już 30 lat, więc trzeba było ogłosić go, jako formalnego Mesjasza. Teozofowie, przeważnie europejczycy, gdyż 300 miljonów hindusów mało się tą sprawą interesuje, zebrali się w Adjarze, przedmieściu Madrasu, gdzie jest główna siedziba tej teozofji i tam nowy Mesjasz, po formalnej instalacji na to, odpowiedzialne bądź co bądź stanowisko, obrał, również formalnie, dwunastu apostołów, oczywiście, z pośród teozofów. Tę to wieść skwapliwie rozniosły pisma. Zdaje się jednak, że nowy ten Mesjasz hinduski, jako import na Europę p. Besantowei et C-ie, spalił na panewce — przynajmniej jako efekt doraźny.

Słówko o Towarzystwie Teozoficznem. Założone ono zostało przed 50-ciu laty przez rosjankę z duchem burzliwym, panią Bławatską, kobietę niewątpliwie zdolną w wielu kierunkach i obdarzoną nawet, zdaje się, w początkach swej karjery pewnemi własnościami medjumicznemi. Napisała ona kilka dzieł, opartych jakoby na rewelacjach mistycznych, otrzymywanych od Mahatmów, czyli wielkich duchów zmarłych (ci Mahatmowie są ostatnią instancją teozofów — szkoda, że nie sprawdzalną i zgoła bezkrytyczną!), które stały się podstawą doktryny teozoficznej, wysnutej z religij i mistycyzmów hinduskich i głoszonej w owem utworzonem Towarzystwie.

Ostatecznie, p. Bławatska została sromotnie zdemaskowana w swych praktykach cudotwórczych przez Londyńskie Tow. badań psychologicznych, które aż zjeżdżało w tym celu do Indyj, i przez rodaka swego, uczonego Sołowjewa, w Paryżu, który napisał przeciwko niej słynną i cenną z powodu gruntowności książkę, p. t. *„Zdemaskowana Izyda“* („Razobłaczonnaja Izida“).

Po śmierci Bławatskiej rządy Tow. Teozoficznego objęła p. Besantowa, buddystka i ateistka, autorka również książek z zakresu tej teozofji. Były i za jej gospodarki nieprzyjemne tarcia i niejednokrotne obnażania różnych spraw drażliwych w łonie samego Tow. i jego sztabu, co spowodowało nawet gromadne usuwanie się członków, między innemi — zmarłego niedawno prof. Rudolfa Stejnera, który, po wystąpieniu z tego grona założył własne Towarzystwo antropozoficzne.

Obecnie, niestrudzona w pracy p. Besantowa, na rozkaz snać Mahatmów niewidzialnych, bez których wielcy teozofowie nic nie poczynają, została matką chrzestną (podług obrządku hinduskiego) nowego Mesjasza — na Europę, oczywiście, i na zamianę jej w jedno Towarzystwo Teozoficzne. Wstrzymajmy się jednak, aż nowy ten Mesjasz pocznie czynić cuda! Sprawdzi je dobrze (takie już dziś czasy niewierne!— jedno i drugie towarzystwo badań psychicznych — a wtedy zobaczymy.

Drugiem, naprawdę ważnem wydarzeniem świeżem w Indjach, był kongres doroczny tysięcy delegatów całej 320-stomiljonowej ludności Indyj, wszystkich ras i wyznań, t. zw. *All India Congress.*

Kongresy te, jako wyraz dążeń i tęsknot całego ludu, dawniej dosyć bezprzedmiotowe, wskutek braku przywódców-patrjotów, od dziesięciu lat nabrały wielkiej wagi w losach politycznych Indyj, dzięki gorącemu patrjocie i prawdziwemu apostołowi niepodległości tego wielkiego kraju, Gandhi'emu.

Gandhi zjednoczył naprzód w dążeniach [illegible] miljonów zamieszkujących w Indjach Muzułmanów z resztą wyznań hinduskich i, stawszy się duszą tych kongresów, rzucił przed kilku laty, żywotne do dziś i postępujące ciągle hasła, dziwnej walki narodowej z Anglikami.

Hasła te zawierają się w dwóch zasadach: pierwsza — nie-współdziałanie *(no-cooperation)*, polegająca na biernym, bezbronnym oporze względem anglików i wszystkiego, co jest angielskie. Słowem, bojkot zupełny — ekonomiczny, polityczny i moralny Anglji. Nie chodzić do szkół angielskich, nie mieć nic do czynienia z władzami angielskiemi, ani z ich literaturą, ani z ich towarami, — z niczem, co choćby pachnie Anglją. Natomiast, wystarczać sobie. I tu jest druga zasada, t. zw. po hindusku: *swadekhi.*

Swadekhi znaczy: najprymitywniejszy kołowrotek, — zwyczajna gwiazda z patyków, służąca u ludu hinduskiego do przędzenia. Wyraz ten ma więc być hasłem samowystarczalności w dziedzinie materjałów bławatnych. Nie kupować angielskich wyrobów bawełnianych, — wystarczać sobie pracą ręczną domową. Da ona pokój wewnętrzny i da zwycięstwo w przyszłości polityczne!

Wszyscy delegaci kongresu, by zaświadczyć swe czucia i sprawowanie zasad Gandhi'ego, przybywają na kongres we własnych domowych samodziałach i jeszcze z kilkudziesięciu metrami zwiniętego w sztukę materjału własnego wyrobu.

Podobno handel angielski wyrobami fabrycznemi w Indjach od kilku lat bardzo się zmniejszył i grozi poważną katastrofą dla przemysłu bławatnego Wielkiej Brytanji.

Drugą duszą, jeżeli się tak można wyrazić, tych kongresów wszechindyjskich, był hindus, Lala Ladżpat Rai, zwany powszechnie dla swej odwagi Lwem, słynny adwokat i bezkompromisowy patrjota hinduski. Był przeciwnikiem metod biernego oporu Gandhi'ego i głosił walkę orężną dla zrzucenia jarzma angielskiego. Został, oczywiście, osadzony przez Anglików w więzieniu. Gandhi przedtem jeszcze był deportowany do Birmanji.

Po odbyciu kary, przeciwnicy zeszli się na tegorocznym kongresie i pogodzili się co do zasad. „Lew“ odłożył snać na przyszłość widoki walki orężnej i przystał do *no-cooperation* Gandhi'ego.

Ale nie dosyć na tem. Za przewodem dwu tych wielkich hindusów dokonany został na tegorocznym kongresie akt najwyższej doniosłości historycznej od lat wielu tysięcy. Dotyczy on odmiany prawa obyczajowego t. zw. *niedotykania* w stosunku do kasty *parjasów.*

Kasty w Indjach od lat tysięcy są istotną plagą zaśniedziałą tego kraju, tamującą wszelki postęp, wszelkie dążenie ku lepszemu. Kasty są jak najszczelniej zawarowane, i człowiek, urodzony w jednej kaście, nie ma prawa dźwigać się wyżej. Cięży na nim przekleństwo rodowe.

Najbardziej jednak upośledzona jest kasta ostatnia — *parjasów.* Nietylko dotknięcie się parjasa, lecz nawet spojrzenie, rzucone przez niego, na człowieka z wyższej kasty, według prawa obyczajowego, kala tego ostatniego i pociąga jego pomstę i nieludzkie wprost traktowanie nieszczęsnego wyrzutka. Stąd parjasi muszą kryć się po rowach i zboczach, by unikać widoku ludzi. Stąd i u nas wyrzutka ubogiego zwą często — za przykładem hinduskim — parjasem.

Otóż w tym roku na kongresie wszechindyjskim w Cawnpour nad Gangesem uchwalono skasowanie tego prawa i zrównanie poniekąd w człowieczeństwie parjasa z resztą ludzi. Jest to pierwszy od tysięcy lat wyłom prawdziwy ku równości braterskiej w Indjach. Sprawić on może większe skutki, niż wszystkie rewolucje. Miljony parjasów poczują się ludźmi. Pierwsza jutrzenka swobody hinduskiej!

O takim właśnie akcie historycznym przemilczała prasa europejska, trąbiąc o powstaniu w tym samym czasie nowego Mesjasza z hodowli teozofów. Znamienne!

A teraz niech czytelnik uprzytomni sobie rasę, miejsce i poziom społeczny, z których przychodzi nowy ten Mesjasz, wyhodowany przez p. Besantową. Trzeba istotnie, wielkiego zaślepienia pychy, by nie widzieć owoców europejskich, w porównaniu z Indjami, prawdziwego i jedynego Mesjasza, który jako *lux ex Oriente*, przyszedł przed dwoma tysiącami lat i który już napewno nie będzie miał następcy.

Józef Jankowski.

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. | Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Ogłoszenia w tekście 40 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. | Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.* Odbito w Drukarni Państwowej, Piotrkowska 85